

Kubicy zderzenie
z rzeczywistością

Janda: chodzę
po ostrzu
brzytwy

Polacy w Himalajach.
Powrót lodowych
wojowników

10

26

30



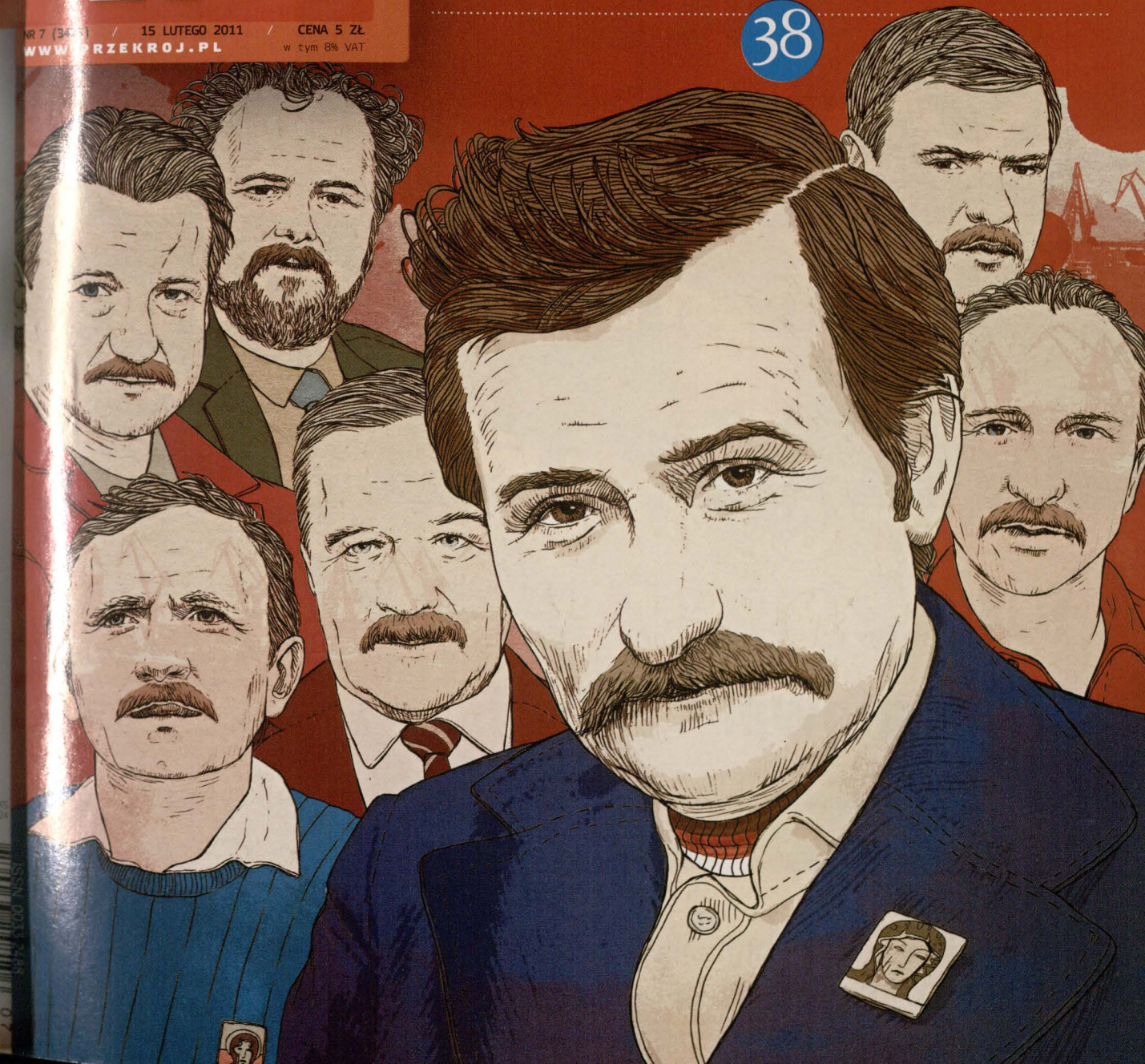
**PRZE
KROJ**

Poszukiwany Lech Wałęsa

KTO GO ZAGRA U WAJDY

NR 7 (343) / 15 LUTEGO 2011 / CENA 5 ZŁ
WWW.PRZEKROJ.PL w tym 8% VAT

38





PILARKI OD 649,*
Informacje o promocjach u Dealerów

STIHL...
i już gotowe!

Przygotowanie każdej ilości drewna pilarką STIHL to nie problem. Szereg innowacyjnych rozwiązań, będących standardowym wyposażeniem naszych pilarek ułatwia pracę, czyni ją bezpieczniejszą i bardziej wydajną. W ofercie STIHL znajdziecie Państwo odpowiednie pilarki do prac w lesie i ogrodzie, które można wykorzystać zarówno do profesjonalnej pielęgnacji zasobów leśnych, jak również do przygotowania opałowego na własne potrzeby. Więcej o pilarkach STIHL i atrakcyjnych PROMOCJACH ZIMOWYCH dowiedziecie się Państwo u Autorizowanych Dealerów, którzy oferują kompetentne doradztwo i fachowy serwis. Adresy Dealerów w internecie lub pod nr tel. 61 816 62 16.

PRZEKROJ

Zainicjował w roku 1945 w Krakowie redaktor Marcin Eile

„Przekrój” w sieci:

– **Monsieur Stasiék prosi o audiencję, hrabino** – powiedział uniesienie stary lokaj. – Wprowadź go, mój wierny Alfonsie – powiedziała po chwili milczenia dama siedząca przy zdobionej złotymi kupidynami serwantce. Wciąż jedyna i urodziwa, niczym nabrzmiała stokiem brzoskwinia, w którą dojrzał wiosenny kwiat. Kątem oka zerknęła w lustro, czy górująca nad błędym czołem peruka nie wymaga pudru, a policzki różu, i z prezencji swej kontenta, rozwinęła jedwabny wachlarz. Gość wkroczył i skłonił się z gracją. – Madame... Lokaj zniknął dyskretnie. Byli sami. Uśmiechnęła się lekko. A więc to był ten słynny Stasiék... Widrzyćiel i przekroista z rozparcelowanej Polski, za sprawą spisku jarosławnych po konfederacji barskiej zmazany salwować się ucieką. Potem czynił ponoć cudna Rusi, z martwych wskrzeszał (pospólstwa bajania!), do słaństwa rozkochiwał panny i mgatki. Na carycy Katarzynie II zrobił ponoć tak wielkie wrażenie, że zrzęzygnowała dłań z hipoterapii... Cóż za mężczyzna z tego Stasiéka być musi! Patrzyła uważnie, zafascynowana. Włosy pomadą do czaszki kształtnej przyzłazane, z przedziałkiem eleganckim na środku. Ogień w oczach przenikliwych za binoklami gorejący. Aż palił tym żarem! Zadrżała. Dostrzegł. Zbliżył się bez słowa. Lecz zamiast obłąpić, formułę proroctwa sekty swej wygłosił. Zapowiedź zbawienia: – Wuuuu! – przekroj! – peel!!! I eksplodował jasnością umysł hrabiny. Zemdlała, w Stasiéka padając mocarne ramiona.

*sugerowana cena detaliczna



...i wieszczę! Jeszcze Stasiék o Facebooku, Twitterze i Blipie: twitter.com/przekroj_pl [przekroj.blip.pl](https://www.blip.pl/przekroj.blip.pl)

...i o przyszłych modłach przez wiernych wznoszonych na redakcja@przekroj.pl

W TYM TYGODNIU

NICZYM NIEZRAŻENI NIE PISZEMY...

...jak to gracko i po staropolsku nasz Wielki Łowczy podjął kanclerz Niemkinię i prezydenta Żabojada. Bo jeszcze nas słuszna дума pali, a przecie już szykujemy się na majową wizytę szwedzkiej pary królewskiej i wyglądamy nowego Kircholmu.

Bo choć nawet trochę się rozzarowaniem Mellera wzruszyliśmy, to chyba ono Platformie niestraszne, zwłaszcza że na odcinku playboyowości dobrze daje sobie radę poseł Węgrzyn, ten, co to tak lubi popatrzeć.

skrzydła. Zabolało mnie to, bo wiem, że to ludzie, którym prezes ufał” – wyjaśniła posłanka. A nas uwiodła skrzydłata logika tych słów.

Bo czekamy na ruch konkurencji. Niech „Newsweek” stanowczo oświadczy, że nie lęka się opinii Wojciecha Maziarskiego, a Tomasz Lis powie wprost, że nie boi się Tomasza Lisa nawet na żywo, a zrobi się naprawdę ciekawie.

...że Marcin Meller, szef kulturotwórczego miesięcznika „Playboy”, obraził się na Platformę Obywatelską, co zdaniem cenionych komentatorów zwiastować może jej rychły upadek.

...że wydatnie wzmacniło się PIS, albowiem do partii wstąpiła posłanka Anna Sobecka (dotąd tylko członkini PIS-owego klubu). „Postanowiłam wejść do PIS, po tym jak odeszli ludzie z liberalnego

...że z radością powitaliśmy nowy tygodnik „Uważam Rze”. Nie możemy tylko dociec, co znaczy jego twarde reklamowe hasło „Redakcja »Rzeczpospolitej« nie boi się opinii Michała Karnowskiego” (względnie „...nie boi się opinii Pawła Lisickiego”, „...Bronisława Wildsteina” itd.).

...że zlikwidowano ostatni sensowny program o książkach – „Czytelnię” w TVP Kultura. Bo o czym tu pisać, skoro nikt już nie kocha, a tym bardziej nie boi się książek.

MARCIN SENDECKI

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

Turystyka miłosna: w te walentynki hitem ma być nie apartament w Egipcie, lecz bungalow w Italii.



ŚWIAT WEDŁUG PRZEKROJU

MAREK ZAJĄC
ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNEJ

W mrok nie skacze się na rozkaz

Dlaczego chodzisz do kościoła? – coraz częściej słyszę takie pytanie. Odpowiedź narzuca się automatycznie: chodzę, bo wierzę. Ale, uczciwie mówiąc, ta prosta formuła nie wyczerpuje wszystkich powodów. Bo na pewno znaczenie ma też to, że wciąż spotykam w Kościele ludzi, z którymi i dla których warto w tym Kościele być. W miniony czwartek odszedł jeden z nich.

...

Przed kilkoma laty spytałem arcybiskupa Józefa Życińskiego, dlaczego powtarza, że wiara przypomina „skok w ciemność”. Uśmiechnął się i opowiedział jeden z dowcipów księdza Józefa Tischnera. Trwa II wojna światowa, Franek Gąsienica z polskimi spadochroniarzami leci nad okupowaną Holandią. Tuż przed akcją oficerowie tłumaczą: kiedy samolot znajdzie się na wysokości 600 metrów, skaciecie, lądujecie, rozwijacie tyralierę i ruszacie do ataku. Franek podnosi rękę i pyta: „A samolot nie mógłby zniżyć się na 200 metrów?”. „Mógłby, ale wtedy nie zdążysz otworzyć spadochronu”. Na co Franek: „Bardzo przepraszam, nie wiedziałem, że będą spadochrony”.

Arcybiskup podsumował: no i my znaleźliśmy się w takim bożym desancie. Kogo zafascynowała Ewangelia, ten musi skakać.

A co z tymi, którzy skakać nie chcą? Na to pytanie arcybiskup odpowiadał cytatem ze Zbigniewa Herberta: „lecz są także tacy którzy wątpią niepokorni / bądźmy szczerzy – to jest także boży lud”. To między innymi dlatego z taką pasją starał się godzić wiarę z rozumem, a Kościół z nauką. I to dlatego – zamiast obrażać się na współczesną kulturę – starał się ją zrozumieć.

...

Obiad u arcybiskupa Życińskiego przebiegał wedle podobnego scenariusza. Gospodarz jadł mało, za to bez przerwy pytał – w moim akurat przypadku głównie o dziennikarzy. Wierzących, agnostyków, buddystów, niewierzących. Chwalił dobre komentarze i artykuły, często zresztą pisał do tych autorów serdeczne listy albo dzwonił z gratulacjami. Martwił się, gdy słyszał o kolejnym rozpadającym się małżeństwie, co akurat w naszym zawodzie do rzadkości nie należy. Wypowiadał wtedy charakterystyczne dla siebie wtrącenie: oj. I powtarzał, że człowiek w kłopotach potrzebuje rady i wsparcia, a nie napiętnowania.

...

Nie ma już Józefa Tischnera, Jana Chrapka, Stanisława Musiała, Romana Indrzejczyka, Józefa Życińskiego. To nie jest wcale przegląd liberałów brylujących w salonach ani medialnych gwiazd hołubionych przez niechętnie ortodoksji redakcje. Na naszych oczach tuż przed beatyfikacją Karola Wojtyły wykrusza się elita tego prawdziwego, a nie tego nieraz sztucznie kreowanego pokolenia JP2. Pokolenia księży gotowych do wyjścia na manowce i rozmowy z każdym, kto rozmowy nie odmawia. Rozumiejących, że w mrok nie skacze się na rozkaz.



ORBITA PRZEKROJU

PIOTR MARECKI

Coś się zaczyna?

Zwłaszcza w okresie ferii uruchamia mi się perwersyjna i wstydliva przyjemność chodzenia do kina na filmy programowo złe. Dużo coli, popcornu, pełna sala, znajomi i zły film, najlepiej w ciemno, bez zastanawiania się i wyboru, coś z oferty multipleksu. Wspólnie z pewną polską pisarką prosimy biletera: „Mamy taki kaprys, żeby zobaczyć najgorszy film, jaki państwo wyświetlacie”. Ten nawet na nas nie spojrzawszy, rutynowo drukuje dwa bilety na „Śniadanie do łóżka”. Nie zrobiłem badania, ale pewnie zbitka „najgorszy film” złała mu się z „film polski”.

Oczywiście nie było warto; mimo że niby komedia, nikt się nie śmiał, panowało raczej zażenowanie, niedowierzanie i znudzenie. Piszę o tym, bo nastąpiło ekranowe przesilenie rodzimych filmów, które polecane są jako złe, ale na to nie zasługują, są nijakie: komedia gangsterska „Weekend” (śmiechy odnotowałem jedynie w momencie niezawodnych dowcipów o gejach), „Jakie pozbyć cellulitu” (nie zaśmiał się nikt ani razu, nawet z zażenowania), chyba najlepiej wypadł na tym tle *remake* „Och Karol 2” (choć tytuł mógłby sugerować, że to *sequel*), bo na sali był mężczyzna, który na głos komentował przygody bohatera i porównywał ze swoimi. Cezary Pazura na łamach „Przekroju” mówił niedawno, że kiedy w telewizji wypowiadają słowo „weekend”, myśli, że to o jego filmie. Ja z kolei kojarzę to z dziełem Jeana-Luca Godarda pod takim samym tytułem, w którym pojawiają się słynne tablice z napisem „Kino kina”. Chcę wierzyć, że popularny aktor obejrzał go i zrobił kilkaset tysięcy widzów w bambuko, proponując coś, co nie jest w ogóle filmem, testując godardowski koniec. I wspólnie doszliśmy do takiego momentu, że można odbić się i wystartować od nowa: komedie znów zaczną śmieszyć, filmy erotyczne będą erotyczne, a złe filmy naprawdę złe.

PS I jeszcze jeden dowód na potwierdzenie, że jest coś na rzeczy: Polska Akademia Filmowa nominowała do nagrody rodzimych Oscarów, czyli Orłów, „Śmierć w Wenecji” Viscontiego. Ktoś na Facebooku skomentował to następująco: „Śmierć...”

Piotr Marecki – redaktor naczelny „Ha!art”, członek Restartu

KAMIENICE HERBOWE

zadbaliśmy o każdy detal



Kraków, ul. Poznańska, tel. 12 633 86 40

www.mieszkaniowy.as

Tylko twardziel tutaj nie odpadnie

Przed **ROBERTEM KUBICĄ** droga dużo trudniejsza niż liguryjski łuk, na którym wypadł z trasy: rehabilitacja. Tą ścieżką do końca dochodzą tylko najbardziej zdeterminowani

RAFAL KOSTRZYŃSKI

Samochody dzielą się na nadsterowne i podsterowne. Nadsterowne mają tendencję do zarzucania tyłem na zakrętach. Zacieśnia się wtedy łuk toru jazdy i trzeba się nieźle napracować kierownicą, żeby nie zaliczyć karuzeli. Podsterowne zachowują się odwrotnie – to przód gubi przyczepność i, zamiast skręcać, jedzie prosto. W skrajnych przypadkach jedynym sposobem zmuszenia takiego auta do wejścia w zakręt jest wprowadzenie go w poślizg kontrolowany za pomocą hamulca ręcznego. Kierowcy samochodów nadsterownych nie mają tego luksusu, bo jaki sens ma blokowanie kół, które i tak utraciły przyczepność?

Dlatego rajdowcy wolą podsterowność. 6 lutego, Liguria, północne Włochy, miejscowość Andora, łagodny łuk na Via Merula, na łuku Skoda Fabia S2000, w środku Robert Kubica za kierownicą i Jakub Gerber obok w roli pilota. Na liczniku niecała setka, ale to i tak za dużo. Auto okazuje się nadsterowne. Tylna koła tracą przyczepność, auto wpada w poślizg i uderza lewym bokiem w barierkę. Ta pęka, wbija się przez reflektor i przeszywa kabinę na wylot, rozwalając klapę bagażnika. Skoda wygląda jak nadziana na ruszt. Pilot wychodzi z opresji bez szwanku, kierowca nie. Barierka poharatała mu prawą nogę i rękę. Noga jest połamana. Z ręką jest jeszcze gorzej: częściowo odcięta dłoń, zmiądzona kość łok-



Robert Kubica przed startem w Grand Prix Korei Południowej 24 października 2010 roku. Cały najbliższy sezon pewnie będzie musiał sobie odpuścić, ale życzymy mu jeszcze wielu takich zdjęć

ciowa i promieniowa, zerwane mięśnie, ścięgnięta oraz nerwy. Nieprzytomnego Kubicę trzeba wyciągnąć z wraku. Ma silny krwotok, jest w stanie krytycznym. Trafia na Oddział Intensywnej Opieki Medycznej szpitala Santa Corona w Pietra Ligure. A Polska zamiera w oczekiwaniu: czy Kubica wróci jeszcze do sportu?

Układanka

Pogruchotana noga Roberta Kubicy nie budzi większego zainteresowania. Ważna jest ręka. Bo ręce dla kierowcy Formuły 1 są ważne jak oczy. Kierownica bolidu nie przypomina tego, czym kręci taryfiarz – to pulpity z prawie 30 przyciskami, pokrętkami i motylkami. Wszystko obsługiwane palcami obu dłoni – od zmiany biegów po rozdzielanie siły hamowania między przednią a tylną oś. Żeby to opanować, trzeba być wirtuozem. Zanim kierowca dotrze do mety, wykona kilka ty-

sięcy takich operacji; napracuje się nie jak bandoneonista. Zatem włoscy lekarze zaraz po ustabilizowaniu stanu Kubicy zajęli się jego ręką. Pierwsza operacja trwała godzinami i przeprowadzono ją siedmiu chirurgów.

– Ręka to jeden z najbardziej skomplikowanych narządów człowieka – wyjaśnia w rozmowie z „Przekrojem” doktor Paweł Szymański, specjalista chirurgii plastycznej i ogólnego – Na stosunkowo niewielkim obszarze skupiają się naczynia, nerwy, kości, ścięgna i błony. Te układy muszą ze sobą współpracować. Te układy muszą ze sobą współpracować.

Szymański tłumaczy: najpierw trzeba zbilizować połamane kości, co robi się z pomocą wiertarki i drutów Kirschnera. Potem zapewnia się ukrwienie palców przez zamocowanie żył. To najbardziej niebezpieczny etap operacji. Naczynia mają

gien z otoczeniem, zaburzenia zrostu kości, ropienie ran, przewlekłe zespoły bólowe.

Szymański: – W najlepszym wypadku skóra goi się po dwóch-trzech tygodniach, kości i ścięgna po miesiącu, a nerwy nawet po roku. Rokowania? Połowa sukcesu rehabilitacji zależy od wytrwałości pacjenta, jednak z mojego doświadczenia wynika, że ręka po tak rozległym urazie, jakiego doznał Kubica, nie powraca do stuprocentowej sprawności.

Jak się określa te procenty? Umownie. Nie ma żadnej tabeli. Lekarze oceniają po prostu siłę dłoni, zakres jej czucia i ukrwienia.

Ze szpitala Santa Corona płyną na razie optymistyczne sygnały. Profesor Igor Rossello, który operował Roberta Kubicę, powiedział, że choć jego ręka była w beznadziejnym stanie, to udało się przywrócić w niej krążenie.

Filar w goglach

– Podziwiam tych ludzi, są niesamowicie odporni – mówi doktor Robert Śmigieński, chirurg ortopeda, który operował dziesiątki sportowców. Zna wielu, którzy wznawiali kariery po ciężkich kontuzjach.

Listę zaczyna od Waldemara Marszałka, legendy sportów motorowodnych, który w latach 80. i 90. na przemian wygrywał wszystko, co można było wygrać, i zaliczał każdą kraksę,

ka, uszkodził się nerw wzrokowy i urwała pięta. Obrażenia spowodowały śmierć kliniczną. Po pół roku ciężkiej rehabilitacji Marszałek znów pojechał na zawody do Berlina. I wygrał. – Moje wypadki nigdy mnie nie przestraszyły – mówi nam. – Sportowiec wie, że w jego życie wkalkulowane jest ryzyko. Taką obrałem drogę i z niej nie zszedłem.

Pierwszym etapem, zanim w jego głowie zaświtała myśl o powrocie do ścigania się, było – dosłownie – stanięcie na nogi. – Musiałem wrócić do normalnego życia. Gdy wylizałem się z ran, po prostu wsiałem do łódki, z nikim tego nie konsultowałem – ani z żoną, ani z lekarzem – opowiada Marszałek.

Rehabilitacja była trudna. Nawet podwójnie trudna, bo Marszałek – jak sam mówi – stosował się do zaleceń lekarzy „na 200 procent”. – Wszystko razy dwa. Lekarz kazał ćwiczyć godzinie dziennie, to ja ćwiczyłem dwie. Wszystko po to, by wrócić do pełnej sprawności.

Śmigieński podziwia też Marka Citkę – za to, że po zerwaniu ścięgna Achillesa i półtorarocznej rehabilitacji wrócił w 1999 roku do piłki nożnej. – Na początku nie wiedzieliśmy nawet, czy będzie się normalnie poruszał. O futbolu nie było nawet mowy – wspomina. – A on grał jeszcze przez siedem lat.

W połowie lat 90. Citko był jednym z największych talentów polskiej piłki. 25 września 1996 roku w meczu Widzewa z Atletico Madryt strzelił niesamowitą bramkę z 40 metrów. Dwa tygodnie później wbił gola Anglikom na Wembley. Miał wszelkie szanse zostać wybitnym piłkarzem, ale w maju 1997 roku karierę przerwała mu kontuzja. – To może zabawne, ale na początku nawet się cieszyłem, że wreszcie będę miał trochę więcej czasu dla rodziny – wspomina Citko w rozmowie z „Przekrojem”. – Nerwy przyszyły później, gdy czas mijał, a ja nie mogłem wyleczyć tego ścięgna. A potem wkrał się niepokój.

Nigdy nie wrócił do dawnej formy. – Z dwóch powodów – wyjaśnia były pomocnik. – Pierwszy: nie miałem profesjonalnej, długotrwałej rehabilitacji, przez co mimo półtorarocznej przerwy wróciłem do piłki nie całkiem zdrowy. Drugi: trenerzy nie dali mi szansy dojść do formy. Gdy Alessandro Del Piero [napastnik włoskiego Juventus – przyp. red.]



W bolidzie F1 nogi służą tylko do operowania gazem i hamulcem. Reszta w rękach kierowcy

jaką można było zaliczyć. – To człowiek, który wiele razy miał rzucić sport, ale zawsze wracał.

Najpoważniejszy wypadek miał w 1982 roku w Berlinie. Jego łódź odbiła się na fali, poszybowała w powietrze i grzmotnęła o tafle wody. Siła uderzenia była tak duża, że Marszałkowi złamało biodro, kość udową, pękła mu czasz-

→ wracał po ciężkiej kontuzji, występował w każdym meczu, choć spisywał się słabo. Ode mnie trenerzy oczekiwali, że od razu będę grał jak dawniej. I wycofali mnie ze składu, gdy nie spełniałem ich oczekiwań.

Jest jeszcze kierowca rajdowy, którego nazwiska Śmigieński nie chce ujawniać. - Miał wypadek w Dubaju. Lewa ręka w drzazgach, złamany nadgarstek, kość promieniowa, łokieć, uszkodzony nerw. Lekarz zoperował go na miejscu, ale gdy zobaczyłem jak, to się przeraziłem. Zoperowałem jeszcze raz, przeszczepiłem mu nerw z łydki do nadgarstka, ale sam nie byłem pewien, co z tego będzie. A on do dziś jeździ. I to mimo że miał kolejną krakę, w której pogruchotał sobie bark.

Śmigieński przyznaje, że bez dobrego lekarza, który zna się na swojej pracy, sportowiec nie ma szans na odzyskanie pełnej sprawności po kontuzji. Ale lekarz to dopiero początek drogi. - Ja składałem do kupy organizm - opowiada. - Odtwarzam strukturę, a nie jej funkcje. To należy do fizjoterapeuty. Rehabilitacja ma ogromne znaczenie, ale jeszcze większe ma determinacja kontuzjowanego. Bo operacja trwa krótko, najwyżej parę godzin. Budzisz się, masz nadzieję, że zaraz wszystko będzie jak dawniej. Kto nie jest twardzielem, odpada już na tym etapie. Dalej brną tylko ci, dla któ-

rych sport nie jest dodatkiem do życia, lecz jego celem. Jak dla Karola Bieleckiego.

Bielecki to filar drużyny piłkarzy ręcznych. Ponad dwa metry wzrostu i ponad sto kilogramów mięśni, więc filar to dobre słowo. 11 czerwca 2010 roku podczas sparingu z Chorwacją w Kielcach rywal wbił mu kciuk w oko. Uszkodzonej gałki nie udało się uratować. Tydzień po wypadku media ogłosiły, że Bielecki kończy karierę. Nie zakończył. Półtora miesiąca później znowu był na boisku. 28 października wrócił do reprezentacji. Łatwo go rozpoznać po specjalnych goglach.

To nie adrenalina

Psychoterapeutka, specjalistka w leczeniu traumy, doktor Elżbieta Zdankiewicz-Ściagała ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie dziwi się, gdy pytam, czy Robert Kubica będzie potrzebował pomocy psychologa. - To nie pierwszy jego wypadek, on już wie, jak radzić sobie z sytuacjami, w których zagrożone było jego życie. Prawdopodobnie ma wysoki poziom poszukiwania doznań i zupełnie inaczej odbiera zdarzenia, które dla zwyczajnego człowieka byłyby traumatyczne. Mniej jest w nim strachu, a więcej złości. To nie jest sytuacja, która rodzi zapotrzebowanie na pomoc psychologa - mówi.

- Po poprzednim wypadku w wyścigu Formuły 1 Kubica chciał prawie od razu wrócić na tor. To może znaczyć, że nie miał zaburzeń lękowych. Czy teraz będzie je miał? Nie sądzę.

Jednak bez psychologa może się nie obyć. Długotrwała rehabilitacja, która czeka Kubicę, na pewno wystawi jego cierpliwość na wielką próbę. - To człowiek, który musi być w ciągłym pędzie, szuka ryzyka. Myślę, że do pory nigdy nie miał czasu zastanowić się nad swoją przyszłością. Teraz będzie musiał. Kontuzja wyrzuca człowieka z jego naturalnego trybu życia, każe się zatrzymać i wszystko przemyśleć. Widziałem już twardzieli kierowcy w takich sytuacjach się rozklejali. Robiła przed sobą długie miesiące bez silnych wrażeń. Nie wiadomo, jak na to zareaguje.

Zdankiewicz-Ściagała: - Życzę mu, by znalazł mniej ryzykowne sposoby podnoszenia poziomu dopaminy. Bo tu o nią chodzi, a nie jak się błędnie zakłada - o adrenalinę. Ciągłe poszukiwanie grozy i przygód to właśnie znak tek uzależnienia od „hormonu szczęścia”.

Trzeba też życzyć naszemu kierowcy cierpliwości. Bo jeśli tego mu zabraknie, nie się rozklei, będzie to oznaczać, że 6 lat na liguryjskiej szosie zaliczył dwa zdarzenia. Jedno z barierek, a drugie z rzeczywistością.

WSPÓŁPRACA DONAT STYL

Kto się nie poddał, czyli hart ducha na świecie

W historii sportu roi się od kubiców - sportowców, których kariera nagle zawisła na włosku. Większość wracała. W 1998 roku na zimowych igrzyskach w Nagano słynny austriacki narciarz Hermann Maier zaliczył niesamowity upadek. Austria wychowała dwóch wybitnych teoretyków fizyki - Ernesta Macha i Christiana Dopplera, ale tego nawet oni by nie wymyślili - przy prędkości ponad stu kilometrów na godzinę Maier wyskoczył dwa metry nad trasę i koziołkując w powietrzu, wyładował za siatką. O incydencie tym powiedział jedynie: „Lufthansa to nie była, ale w sumie jest OK”. Kilka dni później zdobył w tym samym miejscu dwa olimpijskie złota.

24 sierpnia 2001 roku Mach i Doppler znowu przewracali się w grobach. Pod austriackim Radstadt ten sam Maier miał wypadek motocyklowy, po którym zrazu nikt nie dawał mu szans nie tylko na powrót na stoki, ale nawet na ocalenie pogruchoconych nóg. Lekarze roz-

ważali amputację, ale na szczęście się rozmyślili i zamiast uciąć nogi, wstawili w nie masę tytanu. 16 miesięcy później słynny Herminator wystartował w Pucharze Świata i zaraz wrócił do wygrywania największych imprez. Mało kto wtedy pamiętał, że Maier kiedyś nie dostał się do szkoły narciarskiej, więc jakiś czas zajmował się murarką.

Włoch Alex Zanardi to dowód na to, że można mieć jeszcze poważniejszą krakę niż Maier i też dojść po niej do siebie. Zanardi najpierw był kierowcą. Jak Kubica zaczął od gokartów, potem ścigał się w Formule 3, skąd w lata 1991-1994 trafił do F1. Nie odniósł tam żadnych sukcesów, więc przeniósł się do bolidów CART (jeżdżą szybciej niż w F1, bo nawet z prędkością 388 kilometrów na godzinę). Tam brylował, wygrywając dwa z trzech sezonów. Karierę w CART zakończył 15 września 2001 roku. Na torze Lausitzring w niemieckim Klettwitz zbyt szybko chciał się włączyć do stawki po dotan-



Zderzenie Aleksów. Zanardi stracił obie nogi. Taglianemu nic się nie stało

kowaniu paliwa i jego bolid wpadł w poślizg, wystawiając się wprost pod nadjeżdżającego na pełnym gazie Aleksa Taglianiego. Stracił obie nogi i trzy czwarte krwi. Nie poddał się. Sam zaprojektował protezy i zdecydował, że zrobi wszystko, by wrócić na tor. Dwa lata później symbolicznie dokończył wyścig na Lausitzring. W 2004 roku zaczął się ścigać w kategorii WTCC - usportowionych samochodów seryjnej produkcji. Trzy lata później wsiadł na rower. Wystarczył mu miesiąc treningu na trójkoło-

wym handbike'u, by zająć czwarte miejsce w nowojorskim maratonie. Rozstał się z autami, ale nie z handbikiem. Pewnie zobaczymy go na paraolimpiadzie w Londynie w 2012 roku.

Jest jeszcze Alessandro Nannini. Tak jak Kubica jeździł w F1 i jak Kubica doznał poważnych obrażeń prawej ręki (z tą różnicą, że w wypadku helikoptera i było to 20 lat temu). Wprawdzie nie wrócił już do swojego bolidu, ale nie zerwał z samochodami - ścigał się w rajdach Gran Turismo.

1%

GRS 0000136833

To nie PAH karmi głodne dzieci. Robią to ludzie tacy, jak Ty. Ludzie, dzięki którym świat staje się lepszy.

Przekaz 1% podatku PAH



pah

czynimy świat lepszym

www.pah.org.pl/jedenprocent



Jest więcej mubaraków

Egipski prezydent w piątek ustąpił ze stanowiska. Ale Amerykanie utrzymują wielu podobnych sojuszników. Mubarak wcale nie był najgorszy. Wśród pozostałych są komuniści i ludobójcy

ŁUKASZ WÓJCIK

Wszystkich, których tu nie wymienię, mimo że na to zasłużyli, z góry przepaszam, ale nie możemy im poświęcić całego numeru „Przekroju”. Słynna w USA książka napisana w latach 80. XX wieku była zatytułowana „36 najbardziej zawstydzających sojuszników Ameryki”. Dziś ich liczba przekroczyła już setkę. Ale jak powiedział o jednym z nich znany z dobrych manier 32. gospodarz Białego Domu Franklin Delano Roosevelt: „Może i jest sukinsynem, ale to nasz sukinsyn”.

Syn marnotrawny

Jednego syna Amerykanie właśnie się wyrzekli. 11 lutego wiceprezydent Omar Sulejman przekazał Egipcjanom wiadomość o rezygnacji prezydenta Hosni Mubarak. Ale kolejnych mubaraków Amerykanie w Egipcie mają co najmniej kilku. Pierwszym kandydatem na dublera jest właśnie Sulejman. Mówiący płynną angielszczyznę dawny szef egipskiego wywiadu był w pierwszych dniach lutego na konsultacjach w Waszyngtonie. Szanowany też w Tel Awiwie wstąpił się sprawnym zasympywniem tuneli, którymi Palestyńczycy przemycali broń z Egiptu do Strefy Gazy.

Waszyngton będzie równie ustatisfakcjonowany, jeśli u władzy pozostanie obecny szef rady wojskowej Mohamed Husejn Tantawi. Mierny, ale wierny – tak można podsumować ujawnione przez WikiLeaks amerykańskie opinie o nim. Szkolony w Stanach wojskowy, dobry znajomy sekretarza obrony USA Roberta Gatesa świetnie nadaje się na figuranta – nie ma żadnych ambicji politycznych.



Amerykanie mają w czym przebierać. Więc przebierali. 27 stycznia oświadczyli, że mają zaufanie do prezydenta Egiptu. 29 stycznia Barack Obama zaapelował do Mubarak o „wsluchanie się w głos ludu”. Ale już 1 lutego Departament Stanu przekonywał, że Mubarak musi zostać na stanowisku do wrześniowych wyborów. Jeśli jednak wydaje wam się, że Amerykanie błędzili we mgłę, to się mylicie.

– To taka gra w globalną ruletkę – tłumaczy nam doktor Christian Emery z London School of Economics. – Amerykanie grają w nią już prawie sto lat. Jak tylko mogą, opóźniają moment podjęcia decyzji, na kogo postawić. Żeby zawsze postawić na zwycięzcę.

Do 11 stycznia był nim Mubarak. Dla Waszyngtonu świat wciąż dzieli się często na naszych i nie naszych sukinsynów. Zbigniew Brzeziński, doradca Jimmy’ego Cartera, uważa, że 30 lat popierania Mubarak to był „dobry deal i dla USA, i dla Egiptu”. Trudno się nie zgodzić – Amerykanie jego rękami zablokowali sowieckie wpływy w regionie, w Egipcie zdusili fundamentalizm i zapewnili Izraelowi jedyne spokojne pogranicze.

Ile Ameryka za to wszystko zapłaciła? W sumie około 60 miliardów dolarów w ramach corocznej pomocy. Reszta to straty moralne, jakie poniosła „ojczyzna wolność”, pierając reżim, który z wolnością miał niewiele wspólnego. Tortury, represje wobec opozycji, ograniczanie wolności mediów – wszystkie występki Mubarak w oczach Egipcjan miały też na konto Amerykanów. Jednak – stwierdził Brzeziński w wywiadzie dla amerykańskiej telewizji ABC News – „warto było na całym obszarze Autonomii Palestyńskiej. Skończyło się demokratycznym zwycięstwem Hamasu w Strefie Gazy, dezintegracją Amarii i wojną z Izraelem.

Model idealny

Nie wszyscy synowie udali się Ameryce, jak były prezydent Egiptu. Weźmy przykład afgańskiego mubarak. Hamida Karzaj – To tak, jakby Waszyngton spisał wszystkie

swoje pomyłki z ostatniego wieku i popełnił je w jednym kraju w ciągu kilku lat – przekonuje doktor Emery.

Gdy w 2001 roku CIA podburzyła przywódców plemiennych przeciwko rządzącym Afganistanem talibom, Waszyngton zaczął szukać nowego afgańskiego lidera. Karzaj Amerykanie znaleźli w Pakistanie, gdzie wiódł ciche życie emigranta. Jak pisze Seymour Hersh w tygodniku „New Yorker”, uwiódł ich jego zdolności lingwistyczne – Karzaj płynnie mówi nie tylko w kilku językach regionalnych, ale też po francusku i angielsku.

Afgańczyków jednak Karzaj nie uwiódł. Jeszcze w 2001 roku z Kabulu z powrotem do Pakistanu musieli go ewakuować komandosi z Navy SEALs. Amerykanie nie dali jednak za wygraną i Karzaj wkrótce wrócił do kraju, tym razem otoczony przez amerykańskich ochroniarzy. Wtedy swoją osobę zaferował Waszyngtonowi były król Afganistanu Zahir Szah. USA go zignorowały, bo jak pisze Donald Rumsfeld, ówczesny amerykański sekretarz obrony, „stary król miałby zbyt silną



W sierpniu 2009 roku, po pięciu latach przerwy, Hosni Mubarak mógł znów posłuchać rad amerykańskiego prezydenta w Białym Domu. Poprzedni jego gospodarz George W. Bush w 2004 roku obraził się na egipskiego lidera za brak wsparcia dla Ameryki w Iraku. Choć teraz przekonuje, że nie zapraszał Mubarak, „bo to despota”

FOT. EPA/PAP

pozycję w Afganistanie, mógłby się od nas uniezależnić”.

Dziś jednak poza kontrolą USA są nie tylko całe połacie Afganistanu. Amerykanie nie mają też wpływu na zainstalowanego przez siebie mubarak, który stworzył w Kabulu udzielne minikrólestwo. Według Transparency International na świecie bardziej skorumpowana jest tylko Somalia, a brat prezydenta Ahmed Wali (pseudonim Książę Ciemności) kontroluje kwitnący pod rządami Karzaj rynek handlu opium. Kwintesencją porażki Amerykanów są niedawno wypowiedziane przez niego słowa: „Jeśli nadal będziecie mnie naciskać, to przyśięgam, przejdę na stronę talibów”.

Okazało się, że to nie siła, lecz jego słabość jest problemem dla Amerykanów – mimo że Karzaj właściwie nie ma władzy (krytycy mówią o nim „burmistrz Kabulu”), gra USA na nosie. Bo alternatywą dla niego są tylko talibowie. Waszyngton nie ma więc alternatywy.

Fundamentalny przyjaciel

Przykładem wzorowego mubarak jest natomiast saudyjski król Abdullah. Trudno zna-

leżć państwo ideowo bardziej odległe od USA niż rządzone przez niego Arabia Saudyjska. Kraj, który w praktyce jest więzieniem dla dziewięciu milionów kobiet pozbawionych podstawowych praw, kraj, w którym nigdy nie odbyły się żadne wybory.

Popieranie króla Abdullaha zwraca się jednak Amerykanom z nawiązką. W końcu Arabia Saudyjska skupia 20 procent globalnych zasobów ropy naftowej i jest jedynym państwem na świecie, które może szybko i znacząco zwiększyć jej produkcję. Jest też król Abdullah gospodarzem dwóch najświętszych miejsc islamu, wpływowym negocjatorem w konflikcie izraelsko-palestyńskim, jedyną przeciwwagą dla Iranu w regionie, a po 11 września 2001 roku bliskim współpracownikiem amerykańskich służb wywiadowczych. Co prawda opłaca radykalne ruchy islamskie na całym świecie, ale też finansuje miejsca pracy w amerykańskim przemyśle zbrojeniowym. Tylko w 2010 roku Saudowie podpisali z Amerykanami kontrakty na sprzedaż broni o łącznej wartości 60 miliardów dolarów.

Jak się nie ma, co się lubi... – tak można by podsumować amerykańskie tłumaczenie się z przyjaźni z tyranami. Wspomniany Zbigniew Brzeziński podkreśla, że kolejne administracje dostają spadek po poprzednikach w postaci zestawu zagranicznych partnerów. – I zawsze byli wśród nich despoci – przyznaje Brzeziński.

Pod koniec lat 70. XX wieku jako doradca prezydenta Cartera Brzeziński dostał w spadku walący się reżim szacha Rezy Pahlawiego w Iranie, o którym jeszcze dwa lata przed rewolucją Carter mówił „wyspa stabilności”. Brzeziński wspomina dziś, że szach stał wówczas przed alternatywą – albo komuniści z partii Tudeh, albo ajatollahowie z Chomeinim na czele. W apogeum zimnej wojny, po radzieckiej inwazji na Afganistan, z dwójką złego Amerykanie woleli ajatollahów. 30 lat później wciąż tego żałują, a Brzeziński nie ukrywa, że to on doradzał utrzymanie szacha za wszelką cenę.

Takich wtop personalnych Amerykanie mieli kilka. W latach 50. XX wieku nie przypilnowali swojego kubańskiego ulubieńca Fulgencja Batisty. Pod bokiem wyrosła partyzantka, która obaliła go w 1959 roku, a jej lider Fidel Castro do dziś formalnie rządzi Kubą.

Za prezydentem Indonezji Suharto Amerykanie stali murem przez trzy dekady. Fetowali wielokrotnie w Białym Domu mordował głównie komunistów – około półtora miliona.

Waszyngton niemal do końca chwalił też Nicolae Ceaușescu, widząc w rumuńskim przywódcy przebliski niezależności wobec →

→ Moskwy. A w latach 80. XX wieku w czasie wojny z Iranem wysyłał pieniądze Saddamowi Husajnowi.

Honory dla komunistów

Ideologia wbrew pozorom nigdy nie miała dla Stanów Zjednoczonych większego znaczenia. USA popierały największych islamskich opętańców występujących przeciw Związkowi Radzieckiemu, jak prezydent Pakistanu

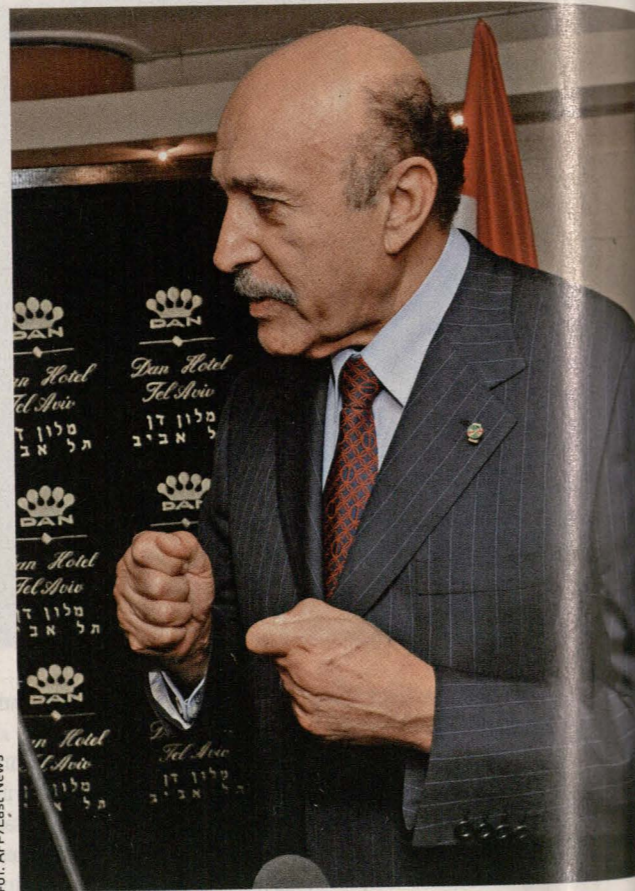
Waszyngton honoruje tylko najbliższych przyjaciół.

Zupełnym kuriozum są jednak afrykańscy mubaracy. Ten najbliższy Amerykanom, prezydent Etiopii Meles Zenawi, nazwany kiedyś przez Billa Clintona „liderem afrykańskiego renesansu”, w ubiegłym roku wygrał kolejne wybory prezydenckie z wynikiem 99,6 procent głosów. Wcześniej kazał aresztować niemal całą opozycję i przez miesiąc zagłuszał

- Rozprzestrzeniająca się na świecie demokracja kiedyś przyniesie wszystkim stabilizację. Ale natychmiastową stabilizację przyniosą silni, niekoniecznie demokratyczni liderzy. Budowa demokracji to proces przekraczający jedną lub nawet dwie kadencje amerykańskiego prezydenta. A oni muszą dbać o pozycję Ameryki. Nawet jeśli wymaga to moralnych kompromisów. W końcu zostali wybrani, aby służyć Amerykanom, a nie ludzkości.



Tandem, który dziś rządzi Egiptem: przewodniczący rady wojskowej marszałek Muhamed Husajn Tantawi (z lewej) i wiceprezydent Omar Sulejman



Zia al-Hak. Za pieniądze Waszyngtonu wybudował on setki meczetów oraz szkół koranicznych i teraz Pakistan, który jeszcze w latach 60. XX wieku był państwem świeckim, jest wylegarnią islamistów.

Dziś z kolei Amerykanom nie przeszkadza nawet komuniści. Przejęci chińską ekspansją u wybrzeży Morza Południowocchińskiego od kilku lat finansowo i zbrojnie wspierają premiera Wietnamu Nguyena Tana Dunga, zagorzałego przeciwnika myśli Ho Szi Mina, który 35 lat temu przepędził ich z Sajgonu. Wietnamsko-amerykańska współpraca układa się tak dobrze, że kraje podpisały niedawno umowę o wolnym handlu (komuniści też kochają wolny handel), a takim zaszczytem

waszyngtońską stacją radiową Voice of America. Mimo to sąsiadująca z Sudanem i Somalią Etiopia jest jedynym stabilnym państwem regionu. Dlatego prezydent Bush widział w ojczyźnie Zenawiego wyspę chrześcijaństwa na morzu islamu, a Obama, choć skarcił Zenawiego za hucpę wyborczą, to na koniec 2010 roku wysłał mu pół miliarda dolarów. W ramach programu rozwoju demokracji.

Dziewictwo Ameryki

Czy jest jakieś usprawiedliwienie dla Stanów Zjednoczonych? - Oczywiście, że jest - twierdzi profesor James Lindsay, ekspert od amerykańskiej polityki zagranicznej w waszyngtońskiej radzie stosunków międzynarodowych.

Doktor Emery: - Amerykanie często wydadzą z założenia, że jeśli państwo nie ma mniemych instytucji demokratycznych, to po nim obalonym autokracie prędzej czy później przyjdzie następny. Być może gorszy niż ta wstrzeźliwość w Egipcie.

Wątpliwości Amerykanów nie zniknęły. kandydaci na kolejnego mubaraka zostali w Egipcie starannie wyselekcjonowani. równo wiceprezydent Sulejman, jak i marszałek Tantawi mają wszelkie predyspozycje, aby nim zostać. Jedyłą siłą, która może powstrzymać ten proces, są sami Egipcjanie. Dziś to nieprawdopodobnie, ale po tym, co się wydarzyło w zeszłym tygodniu w Kairze, niczego nie można wykluczyć.

Grypa w naszej głowie

W obawie przed epidemią świńskiej grypy rok temu zamykano szkoły, w izolatkach trzymano całe rodziny. Dziś wystarczy umyć ręce, by zapobiec chorobie, a rodziny obserwują się same. Co się zmieniło?

MARCELINA SZUMER

Byliśmy przerażeni. W szpitalu ktoś powiedział mamie Krzyśka, że powinna spalić jego rzeczy, inaczej grypa się rozprzestrzeni - wspomina Wiesław Wesołowski, przyjaciel rodziny i były pracodawca Krzysztofa, który w połowie stycznia zmarł w Inowrocławiu. 31-latek z Kołudy Wielkiej, po tym jak nie pomogły przepisane mu przez internistę leki na przeziębienie (ani zalecona gorąca herbata z cytryną), zgłosił się do szpitala. Kaszlał i miał gorączkę. Prosił lekarzy, by zatrzymali go na oddziale, bo bał się o zdrowie ciężarnej żony Beaty. Trzy dni później zmarł. Przyczyna - powikłania po grypie wywołanej wirusem AH1N1.

- Każdy z nas z nim rozmawiał, dotykał go. Wszyscy mogliśmy roznieść wirusa dalej - martwi się do dziś Wesołowski (Beata, żona zmarłego, jest tuż po porodzie i nie mogła z matką rozmawiać). - Powinni nas chyba przekładać czy coś? - zastanawia się.

Otwarta czy zamknięta?

W zeszłym roku z powodu świńskiej grypy zamknięto w Polsce 160 osób. Przed szalejącą (podobno) epidemią chroniono dzieci, zamykając szkoły, rodziny chorych miały zgłaszać się regularnie do lekarza, sanepid docierał do ludzi, którzy wrócili z Meksyku (uchodzącego za źródło epidemii), a pewien autokar wracający z Ukrainy zamiast na parking skierowano - razem z całą wycieczką - od razu do szpitala.

W tym roku według Państwowego Zakładu Higieny tylko w pierwszym tygodniu lutego z powodu powikłań wywołanych różnymi rodzajami grypy zmarły 24 osoby (od początku roku 56). U połowy chorobę wywołał wirus AH1N1. Ci, którzy mieli kontakt z chorymi, pamiętają ubiegłoroczne antygrypowe akcje. I - nawet jeśli nie kaszla i nie gorączkują - drżą ze strachu, że też się rozchorują.

Bali się na przykład pracownicy zakładu po grubego Credo, który organizował pochówek Krzysztofa. - Rodzina chciała, by trumna



Szczepionka lepiej zabezpieczy nas przed grypą niż maski

była otwarta - wspomina w rozmowie z „Przekrojem” pracownik firmy. Gdy usłyszał życzenie bliskich, zadzwonił do sanepidu. Pytał, czy jeśli zmarły zszedł z tego świata z powodu AH1N1, to mają dostosować się do życzenia krewnych czy zignorować je w obliczu zagrożenia epidemiologicznego? Odpowiedź go zaskoczyła: - Powiedzieli, że może być otwarta, byle nie przesadzać z czułościami. Nie całować, nie przytulać zwłok.

Rodzinę Krzysztofa pracownicy stacji sanitarno-epidemiologicznej sami znaleźli, ale nie kazali opróżniać szaf. Bliscy mieli obserwować siebie. Gdyby coś się działo - radzili - niech idą do lekarza. - No bzdura przecież! - denerwuje się jeszcze dziś Wiesław Wesołowski. - Dziewczyna w zaawansowanej ciąży, mąż zmarł, szpital każe palić rzeczy, a oni jej mówią tylko tyle, żeby na siebie patrzyła?

Wdowa więc, mama i pan Wiesław z tych nerwów sami zgłosili się do przychodni. Tam dowiedzieli się, że skoro czują się dobrze, niech wrócą dopiero wtedy, gdy zaczną kaszleć.

To nie dżuma

- Spalić rzeczy? To absurdalne - dziwi się Jan Bondar, rzecznik Głównego Inspektoratu Sanitarnego. - Wirus nie przeżyje bez żywiciela, czyli człowieka. Na ubraniu może przetrwać

najwyżej kilka godzin - mówi. I tłumaczy, że AH1N1 wcale nie jest najgroźniejszym grypowym szczepem, a śmiertelność wywołana powikłaniami właśnie po tej chorobie nie jest większa niż w przypadku innych jej rodzajów. - Większość chorych nawet nie idzie do lekarza - mówi Bondar. Denerwuje się też na wspomnienie ubiegłorocznej histerii: - Od razu mówiliśmy, że ta grypa to nic nowego. Po co była ta ogólnosiwiatowa panika?

Podobnego zdania jest profesor Andrzej Horban, krajowy konsultant do spraw chorób zakaźnych: - Nie należy panikować, nie ma nawet obowiązku ani potrzeby przeprowadzania w każdym przypadku szczegółowego badania, by sprawdzić, czy choroba wywołana jest wirusem AH1N1.

Jan Bondar przypomina, że jak zwykle najbezpieczniejsza jest profilaktyka. Twierdzi na przykład, że żadna ze zmarłych dotąd osób nie była zaszczepiona przeciw grypie. - A jeszcze lepiej myjmy ręce tak często, jak się da - apeluje. Bo czyste dłonie najlepiej powstrzymają rozprzestrzenianie się wirusa.

Bondar ocenia, że grypa AH1N1 spowszedniała i powinniśmy się do niej przyzwyczaić. I póki ten świński wirus się nie zmutuje, większość przypadków grypy będzie wywołana właśnie nim. Nic na to nie poradzimy.

Antykonkurencja nie śpi

Potrąfi cieszyć się jak dziecko, gdy uda jej się wykryć znową cenową – tak o **MAŁGORZACIE KRASNODĘBSKIEJ-TOMKIEL** mówią współpracownicy z Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów

DONAT SZYLLER

Kobieta, która hamuje ofensywę największych polskich korporacji, nie wygląda groźnie. Łatwo pomylić ją z nauczycielką lub bibliotekarką. Kostium o tradycyjnym kroju w stonowanych szarościach i beżach. Rzadko małutki bursztynowy wisior na szyi. Włosy w kucyk, okulary. Głos cichy, ciepły, dziewczęcy. Miły uśmiech.

Jednak każdy, kto zetknął się z tą niespełna 37-letnią urzędniczką, wie, że jest ona na tyle surowa i konsekwentna, że można by tym obdzielić komendantów policji i służb specjalnych. – Szefowie koncernów nie przepadają za nią, bo jej decyzje kosztują grube miliony. Ale wolą siedzieć cicho – mówi jeden z byłych współpracowników Małgorzaty Krasnodębskiej-Tomkiel, prezes UOKiK. – Ciągłe mamy do czynienia z urzędem, po co się narażać – usłyszeliśmy w jednej z giełdowych spółek.

Szlaban dla Empiku

Tydzień temu prezes UOKiK znów podgrzała biznesowe emocje. Zrobiła to, nie opuszczając szpitalnego łóżka, w którym leży od kilku tygodni. Na co choruje? Nie powie nam, zwłaszcza że nie zdradziła tego nawet najbliższym współpracownikom. – Mimo ograniczeń pracuję, bo za decyzje odpowiadam jednoosobowo, a terminów przekraczać nie wolno – wyjaśnia „Przekroju”.

W terminie więc zablokowała fuzję giganta na rynku wydawniczym Empiku z księgarnią internetową Merlin.pl. Warta 130 milionów złotych transakcja miała stworzyć wielki



Prezes UOKiK to nie osoba, która patrzy w oczy i pyta, co robić. Ona patrzy w oczy i informuje, co z

koncern sprzedający Polakom książki i muzykę. Według prezes UOKiK – zbyt wielki. Krasnodębska-Tomkiel wykonała operację do tej pory w naszym kraju niespotykaną. Przeprowadziła badanie rynku, przepytując ponad 1,1 tysiąca wydawców, dystrybutorów, sklepów internetowych oraz wytwórni muzycznych. I doszła do wniosku, że Empik i Merlin wspólnie będą mogli dyktować ceny, co oznacza, że klient – czyli także czytelnik „Przekroju” – zapłaci więcej.

Konsekwencją podwyżek mógł być spadek czytelnictwa, bo po droższe wydania sięgnęłoby mniej klientów. – Ponadto wielu wydawców już dziś jest w znacznym stopniu uzależnionych od Empiku i Merlina. Po ich połączeniu pozycja wydawców byłaby jeszcze słabsza, co wpłynęłoby na ich kondycję finansową. A więc być może też na liczbę wydawanych książek – tłumaczy prezes.

Zarząd grupy EM&F (właściciela Empiku) zebrał prawników, którzy badają decyzję Krasnodębskiej. Z akcjonariuszami zdecydować, czy odwołać się do sądu. Bo przecież prezes UOKiK mogła się pomylić. Owszem, czasem się myli, ale robi to wyjątkowo rzadko: wygrała 80 procent spraw. – W większości sądy nie zmieniają w moich decyzjach nawet przecinka – z dumą podkreśla Krasnodębska-Tomkiel.

Powodzenie szefowej UOKiK przed sądem nie dziwi prawnika, profesora Michała Kąszy, u którego Małgorzata Krasnodębska-Tomkiel obroniła pracę doktorską na temat wspólnotowego prawa konkurencji: – To nie jest osoba, która patrzy w oczy i pyta, co ma robić. Ona patrzy w oczy i informuje, co z

robi. – Raczej tłumaczy, niż informuje – próbuje jedna z jej współpracowniczek. Swoją metodą określa jako „zupełnie normalną”, która czasem poplotkuje o mężu (pracuje w firmie telekomunikacyjnej), jak każda matka przechwyci się wynikami swojej córki w podobny sposób lub obrazkiem namalowanym przez czteroletniego syna. Jednak resztę prywatności trzyma dla siebie. Nie jest wylewna, nie przyjaźnia się łatwo. Zainteresowania? Ciepłe prawo antykonkurencyjne. – Potrąfi cieszyć się jak dziecko, gdy uda jej się wykryć znową cenową – opowiada pracownik urzędu.

Dodaje, że Krasnodębska-Tomkiel nie lubi karać dla samego karania. Najpierw tłumaczy reguły gry. I dopiero kiedy ktoś je złamuje, mówi: „Nie ma przebaczenia”. Jako pierwszy prezes UOKiK stworzyła zbiór zasad, którymi kierować przedsiębiorca, oraz zbiór – rodzaj taryfikatora. – Nie jestem policjantem, który chowa się za krzakami z radarem i karze z zaskoczenia. Reguły są jasne. Przedsiębiorca

ca wie, co mu grozi, i sam decyduje, czy opłaca mu się ryzykować – wyjaśnia nam prezes.

O tym, że nie opłaca się ryzykować, świadczą statystyki. W 2010 roku UOKiK nałożył na przedsiębiorców ponad 347,5 miliona złotych kar. Rok wcześniej – ponad 558 milionów. Tylko w ciągu tych dwóch lat Krasnodębska-Tomkiel przebiła pod tym względem swoich poprzedników rządzących urzędem od 2004 do 2007 (łącznie nałożyli oni 722 miliony złotych kar). Przy 50 milionach rocznego budżetu UOKiK jest więc jedną z nielicznych instytucji, które zarabiają na siebie z nawiązką.

Bez złudzeń

Krasnodębska-Tomkiel zatrudniła się w UOKiK tuż po studiach, w 1998 roku. Była szeregowym pracownikiem departamentu prawnego. Awansowała na jego dyrektora, wreszcie na wiceprezesa. W 2008 roku premier Donald Tusk powołał ją na stanowisko szefa urzędu. Choć decyzje w imieniu urzędu wydają prezesi, wcześniej przygotowują je merytoryczne departamenty. Krasnodębska-Tomkiel latami pracowała nad konkretnymi decyzjami, wielokrotnie też reprezentowała UOKiK przed sądem. – Jest urzędniczką

z krwi i kości. Myśli w kategoriach prawa i procedur. I ma nietypową cechę: nie jest dyplomatą, mówi prosto z mostu – wspomina były szef UOKiK, obecnie poseł PO Tadeusz Aziewicz.

Właśnie ta ostatnia przypadłość sprawiła, że nad głową prezes UOKiK zebrały się czarne chmury. W odróżnieniu od poprzednich szefów urzędu nie chroni ją zasada kadencyjności (przepisy zmienił rząd PiS i teraz premier może odwołać prezesa UOKiK w każdej chwili). Pod koniec ubiegłego roku wydawało się, że dymisja była tuż-tuż. Donald Tusk, który obiecał Krasnodębskiej-Tomkiel niezależność i wolną rękę, przekonał się, że ta ręka potrafi wymierzyć dotkliwy cios.

W 2010 roku rząd próbował doprowadzić do fuzji energetycznych gigantów – PGE i Energi. Minister skarbu Aleksander Grad chciał w ten sposób zasilić budżet państwa kwotą 7,5 miliarda złotych. Nic z tego. Już w lipcu Krasnodębska-Tomkiel wystąpiła przeciwko temu pomysłowi. – Tak długo, jak kieruję urzędem, nie będzie zgody na taką koncentrację – zapowiadała. Uznała, że połączenie obu firm doprowadzi do skupienia aż 40 procent detalicznego rynku energii w jednym ręku, co może doprowadzić do wzrostu cen prądu.

Ostatecznie zakaz wydała 14 stycznia (tydzień przed upływem terminu; PGE odwołało się do sądu). Współpracujący z urzędem prawnik Jarosław Sroczyński zwraca uwagę na termin: cała Polska żyła wtedy raportem MAK dotyczącym katastrofy smoleńskiej. – Tak uniknęła politycznej burzy, bo rząd był zbyt zajęty, by krytykować jej decyzję – uważa Sroczyński.

– Dymisji się nie boję – zapewnia Małgorzata Krasnodębska-Tomkiel. – Choć z taką sytuacją się liczę. Nie jestem politykiem i jedyne przesłanki, jakimi się kieruję, to ochrona rynku i konsumentów. Nic innego poza przepisami nie może wpływać na moje decyzje.

Na razie wydaje się, że może czuć się bezpiecznie. Po zablokowaniu planów rządu w sprawie energetycznej fuzji premier nie odwołał pani prezes. Zapowiedział za to: – Zaoferowałem szefom urzędów regulacyjno-kontrolnych opiekę ze swojej strony, gdyby usiłowano na nich wyrzucić nacisk.

Ile razy jeszcze Donald Tusk będzie musiał strzec panią prezes przed naciskami ze strony jego rządu? I czy Małgorzata Krasnodębska-Tomkiel przetrwa na stanowisku dłużej niż obecny premier na swoim? Czas pokaże. ●

REKLAMA



1% www.pck.org.pl

KRS 0000225587

Narkomanom szkodzi Monar?

Ponizające terapie dla narkomanów w ośrodkach Monaru to relikty przeszłości. Świat stosuje już lepsze metody, ale reformatorzy są usuwani ze stowarzyszenia. Państwo zaś nie ma pomysłu, jak wyciągnąć osoby uzależnione z ośrodków przypominających obozy. Zresztą Monar to państwo w państwie

MACIEJ JARKOWIEC
ANNA SZULC



Terapie długoterminowe w Polsce przypominają „placówki penitencjarne” – uważa Fundacja Helsińska

Jest Pani dla mnie Mubarakiem polskiego systemu leczenia osób uzależnionych od narkotyków. Potwarzając gest mieszkańców Kairu i innych egipskich miast, proszę Panią o uwolnienie Monaru od swojej osoby” – Jacek Charmast, kiedyś członek zarządu stowarzyszenia, dziś ekspert Polskiej Sieci Polityki Narkotykowej, nie przebiera w słowach. W dalszej części listu otwartego do Jolanty Łazugi-Koczurowskiej, obecnej przewodniczącej Monaru, grzmi: „Zakneblowano usta ludziom, wprowadzono

rzędy jedynie słusznej ideologii. Za państwo-wo pieniądze stworzono biznes”.

Co wywołało wściekłość Charmasta? Wyliczanie wydarzeń najlepiej zacząć od 2 września 2010 roku. Wtedy to uchwałą zarządu zlikwidowano monarowskie Centrum Terapii Narkomanów w Krakowie. Przez wiele lat kierował nim pedagog Marek Zygać. Pod protestem przeciw tej decyzji podpisało się blisko 300 osób, specjalistów z całego kraju (w tym ksiądz Arkadiusz Nowak, były doradca ministra zdrowia do spraw AIDS

i narkomanii, oraz Piotr Jabłoński, dyrektor Krajowego Biura do spraw Przeciwdziałania Narkomanii).

Jak reaguje Monar? W połowie stycznia tego roku do innej placówki w Krakowie, Domu Monaru, władze stowarzyszenia wprowadzają zarząd komisaryczny, choć stąd nie przewiduje powoływania w ośrodku takiej instytucji. – Zarząd podjął taką decyzję dla dobra stowarzyszenia – tłumaczy Jolanta Łazuga-Koczurowska.

Domem do chwili wejścia komisarza kierował Zygać (wciąż jest członkiem stowarzyszenia Monar i jego pracownikiem, bo odwołanie z funkcji kierownika nie oznaczało wypowiedzenia).

Decyzja o wprowadzeniu komisarza i zdegradowaniu Zygadły wywołała w środowisku terapeutów kolejną burzę. 1 lutego pracownicy domu oraz dwóch innych krakowskich placówek, które podlegają stowarzyszeniu

manów na ulicach, z których średnio rocznie umierało 10 – wspomina Iwona Preisner, od 23 lat uzależniona od heroiny.

Narkomanami w Krakowie interesowała się wtedy głównie policja. W mieście działał tylko punkt konsultacyjny Monaru obsługiwany przez dwie osoby zajmujące jeden etat. W 1993 roku Marek Kotański utworzył Centrum Terapii Narkomanów, a jego prowadzenie powierzył Markowi Zygadłowi. Ten wcielił w życie swoje pomysły. Oprócz Domu Monaru w Pleszowie powstały wspomniany Dom Gwan dla „weteranów” terapii oraz ośrodek detoksykacji – jedyny w kraju prowadzony przez stowarzyszenie, a nie państwo. Zygaćdo pozyskuje granty, szkoli ludzi, wysyła ich na międzynarodowe konferencje.

– To wzorcowy system obejmujący prewencję, detoks, terapię, rehabilitację, postrehabilitację, pomoc społeczną, substytucję oraz szkolenia dla kadry. Sami próbujemy stworzyć podobny w Jeleniej Górze, ale przyznam, że brakuje nam zdolności organizacyjnych i charyzmy, jakie ma pan Zygać – ocenia Józef Leśniak, specjalista terapii uzależnień z Jeleniej Góry, superwizor (czyli osoba doświadczona, szkoląca innych psychoterapeutów) z ramienia Krajowego Biura do spraw Przeciwdziałania Narkomanii (KBPN).

– Zygaćdo uratował mi życie – mówi po prostu Iwona Preisner, która dziś leczy się metadonem.

Abstynencja pod nadzorem

Helsińska Fundacja Praw Człowieka pod koniec zeszłego roku zbadała stacjonarne placówki leczenia narkomanów w Polsce. Jest ich 80, prawie połowa należy do Monaru, reszta rozproszona jest pomiędzy mniejsze organizacje. Wnioski w raporcie fundacji: taki system jest nieracjonalnie drogi i nieskuteczny. Jej wątpliwości budzi też sprawa przestrzegania w placówkach praw człowieka. W komentarzu do raportu Małgorzata Maresz (specjalistka do spraw rehabilitacji osób uzależnionych, emerytowana pracownica KBPN) zwraca uwagę na uderzające podobieństwo zamkniętych ośrodków do „placówek o charakterze penitencjarnym”. Mówiąc wprost – do więzień. Pacjenci przed przyjęciem są rozbierani do naga i przeszukiwani (każe im się robić przysiady, aby sprawdzić, czy nie ukrywają narkotyków w ciele). Narkoman podpisuje zgodę „na pobyt”, a nie „na leczenie”. Terapia opiera się na resocjalizacji przez pracę, a regulamin – na systemie zakazów (w niektórych ośrodkach w okresie tak zwanego nowicjatu choremu nie wolno nawet samemu włą-

czyć czajnika) oraz kar zwanych dociążeniami (bieganie wokół budynku, robienie pompek, czyszczenie fug szczoteczką do zębów). Porządku pilnuje rekrutowana spośród pacjentów Służba Ochrony Monaru.

Wszystko w jednym celu – zmuszenia do abstynencji. Tymczasem Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) od lat twierdzi, że celem leczenia narkomana ma być głównie poprawa jakości jego życia. Nie dla wszystkich uzależnionych będzie to oznaczało abstynencję za wszelką cenę. Dlatego tak ważne są nie zamknięte ośrodki, lecz poradnie dzienne, które pomagają brać mniej, ułatwiają poprawę relacji z rodziną, podbudowują poczucie własnej wartości. A w Polsce?

Choć Narodowy Fundusz Zdrowia zwiększa nakłady na leczenie narkomanii (wzrosły z 54 milionów złotych w 2004 roku do 111 milionów w roku 2009), proporcje finansowania się nie zmieniają. Nadal 70 procent pieniędzy dostają długoterminowe placówki stacjonarne, które leczą metodą całkowitej abstynencji. W dziewięciu regionach kraju ośrodki te dostają nawet 80 procent funduszy, a w dwóch – opolskim i lubuskim – 95 procent. W całej Europie proporcje są odwrotne: na 400 tysięcy leczących się narkomanów 86 procent korzysta z pomocy ambulatoryjnej, a tylko co 10. przebywa w ośrodku długoterminowym.

Próbowaliśmy ustalić, jaką część z ponad stu milionów złotych rocznie na leczenie narkomanów dostaje Monar. NFZ nie jest w stanie podać nam pełnej sumy, bo dystrybucją pieniędzy do różnych ośrodków zajmują się oddziały regionalne funduszu. Teoretycznie łatwiej tę informację powinniśmy uzyskać w Monarze. Ale Beata Marzec, główna księgowa stowarzyszenia, nie chce na ten temat rozmawiać z „Przekrojem”. Po prostu odkłada słuchawkę. Możemy więc jedynie domniemywać, że – zakładając, iż prawie połowa wszystkich ośrodków stacjonarnych należy do Monaru – stowarzyszenie dostaje około 50 procent pieniędzy przeznaczonych w Polsce na leczenie uzależnionych w ośrodkach długoterminowych, czyli co najmniej 30 milionów złotych.

Daleko od ludzi

Monar i podobne mu placówki niewiele się zmieniły od połowy lat 80. Członkowie społeczności terapeutycznej rozdzielają między siebie role: gotują, sprzątają, wykonują prace rolnicze, opiekują się zwierzętami. Kontrolują się i karzą nawzajem. Taka terapia ma nauczyć odpowiedzialności, wykształcić odruchy społeczne, przygotować do życia →

→ na zewnątrz (bądźmy uczciwi: fachowcy nie kwestionują, że dla niektórych bywa skuteczna, ale ma też tyle wad, iż nie powinna być metodą najczęściej stosowaną lub jedyną dostępną). – Te ośrodki powielają schemat zamknięcia w kręgu ludzi uzależnionych – mówi doktor Jacek Moskalewicz z Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie.

Narkoman widzi – jak przed terapią – ciągle te same twarze, ma zorganizowany dzień od świtu do zmierzchu. Nie jest więc przygotowywany do samodzielnego życia i gdy po wyjściu z ośrodka musi coś załatwić, nie potrafi tego zrobić. Zwłaszcza że ośrodki często położone są w lasach, w wioskach, daleko od miejsca zamieszkania chorych. Bywa, że pacjent nie kontaktuje się z rodziną przez kilka miesięcy, podczas gdy nowoczesne terapie kładą nacisk na ułożenie sobie relacji z najbliższymi, co nieraz jest kluczem do wyrwania się z nałogu. – W świecie rozwiniętym jesteśmy ewenementem – mówi Kasia Malinowska-Sempruch, dyrektor polskiej części programu Global Drug Policy (prowadzonego przez Open Society Institute – fundacji założonej przez miliardera George'a Sorosa).

Na przykład w Niemczech inna pomoc – substytucyjna – dociera do 60 procent potrzebujących, u nas odsetek leczonych metadonem wynosi 7 procent. Żeby dostać się na taką terapię, w niektórych częściach kraju trzeba czekać w kolejce miesiącami, a w innych – jak na Pomorzu – takiej szansy nie ma w ogóle. Standardem więc pozostają ośrodki zamknięte, do których skierować może nawet szkolny pedagog.

– Konieczne jest lepsze diagnozowanie, opieka nad współuzależnionymi rodzinami, rozpoznawanie społecznej sytuacji, w jakiej znajduje się chory, a nie automatyczne wysyłanie na długie leczenie – apeluje Józef Leśniak. Leczenie w Monarze zazwyczaj trwa rok, nie raz dłużej, a część pytanym przez Helsińską Fundację terapeutów z zamkniętych ośrodków i tak uważa, że to za krótko.

Leśniakowi wtórują kierownicy ambulatoriów, programów substytucyjnych, organizacje zrzeszające pacjentów i – co najdziwniejsze – sam NFZ. Jego przedstawiciele nieoficjalnie tłumaczą nam, że muszą dawać pieniądze Monarowi, bo przy braku jasnych standardów leczenia narkomanów nie są w stanie stwierdzić, czy metody stosowane przez to stowarzyszenie są dobre, czy złe. – To nieporozumienie – protestuje były minister zdrowia Marek Balicki. – Jest Krajowy Program Przeciwdziałania Narkomanii i standardy opracowane przez KBPN. Tam są wy-

starczające rekomendacje metod leczenia uzależnień. Fundusz może kształtować rynek usług ambulatoryjnych i substytucyjnych. Brakuje dobrej woli – podsumowuje Balicki.

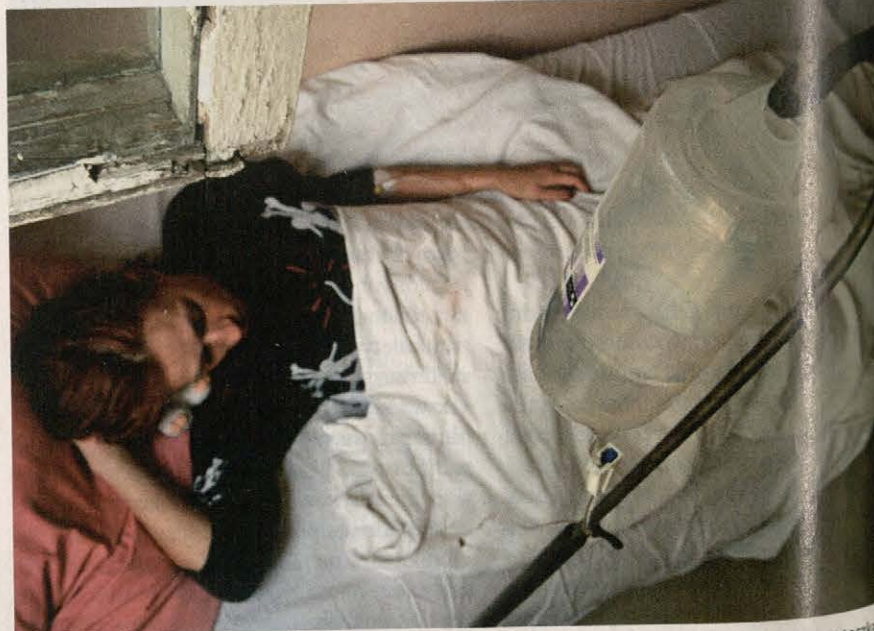
Kasia Malinowska-Sempruch z Global Drug Policy dodaje, że przede wszystkim brakuje zdrowego rozsądku. – NFZ nie potrzebuje rozporządzenia, które mu wyjaśni, że skakanie żabką wokół budynku, robienie pompek albo golenie głowy to nie są skuteczne procedury medyczne w leczeniu schizofrenii czy cukrzycy. Dlaczego takich rozporządzeń oczekuje w przypadku narkomanii, która jest chorobą jak każda inna?

Jedyna słuszna idea

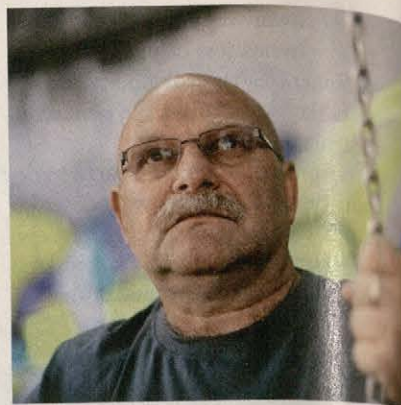
Skoro NFZ brakuje woli i rozsądku, to kto mógłby zmienić model leczenia narkomanii w Polsce? – Monar. Mają największą infrastrukturę, wiele budynków, a w nich łóżka – tłumaczy Malinowska-Sempruch. – Rozwój i przeprofilowanie tej organizacji mogłyby zmienić system i dostosować go do standardów europejskich.

Zapału do zmian w stowarzyszeniu jednak nie ma. Jego przewodnicząca Jolanta Łazuga-Koczurowska powtarza publicznie, że leczenie metodą abstynencyjną jest fundamentem filozofii Monaru.

Małgorzata Maresz uważa, że powód utrzymywania ośrodków można wyjaśnić prościej: – Choć jest sporo dobrych, jest też wiele takich, które w praktyce działają bardziej w interesie swoich pracowników, a nie pacjentów – stwierdza w rozmowie z „Przekrojem”.



Po detoksie narkomani trafiają zwykle do ośrodków, gdzie czeka ich czyszczenie fug szczoteczką



Marek Zygałdo musiał odejść, bo sprzeciwiał się przestarzałym metodom leczenia uzależnionych

Tłumaczy, że dla wielu terapeutów trwanie w ośrodkach jest sposobem na życie. Dla nich priorytetem staje się samo ich prowadzenie i utrzymanie miejsc pracy.

Reformy chciał Zygałdo. Mówiąc w skrócie, nie uważał abstynencji za jedyną drogę prowadzącą do wyleczenia narkomana. Jego pomysłem był program redukcji szkód, czyli pomoc uzależnionym w stylu, jaki obowiązuje obecnie na Zachodzie. Bez kar, bez izolacji, w miejscu zamieszkania, często z użyciem metadonu. Dla kierownictwa Monaru Zygałdo stał się uciążliwy, bo krytykował organizację. Gdy został usunięty, wzmocniły się głosy krytyków, że Monar jest równie zamknięty i wyizolowany jak ośrodki, które prowadzi.

Jacek Charmast mówi wprost, że największym problemem stowarzyszenia jest brak komunikacji ze światem, zamknięcie na dialog

niechęć do nauki i rozwoju. – Chcą, żeby ich zostawić w spokoju, by było jak najmniej rozgłosu, żeby nikt się nie przyglądał, żeby mogli dalej robić wszystko po swojemu – twierdzi.

– Ci, którzy tak mówią, niewiele wiedzą o dzisiejszym Monarze – ripostuje Łazuga-Koczurowska. I wylicza. – Rozwijamy się. Realizujemy nowatorskie programy, szukamy nowych rozwiązań w zakresie pomocy uzależnionym, terapeuci mają certyfikaty, są zaangażowani, wierzą w to, co robią. Jako fachowca boli mnie ciągle poszukiwanie odpowiedzi na pytanie, jakie leczenie jest lepsze. Każde jest dobre w zależności od potrzeb pacjenta.

Jak dobra jest więc terapia stosowana przez Monar? Stowarzyszenie nieupublicznia swoich danych na temat skuteczności leczenia zamkniętego. Ale Jacek Charmast pamięta zestawienie z 2006 roku – w placówce w Graczech (Dolnośląskie) na 48 osób terapię ukończyło 8, w Łodzi przyjęto do leczenia 107 osób, liczba ukończonych terapii: 4. – To jeszcze nie – mówi proszący o anonimowość terapeuta uzależnieni z Poznania. – Istnieją w Polsce zamknięte ośrodki, my nazywamy je „domami pod lasem”, w których skuteczność terapii opartej na założeniach Monaru waha się w granicach jednego procentu.

Dokładne dane mają Amerykanie. Terapie w zamkniętych ośrodkach w USA kończą od 15 do 35 procent leczonych. Abstynencję przez 12 tygodni udaje się utrzymać zaledwie u 10 z nich. Dodajmy, że w Polsce rekordzistami zaliczają się po 12 pobytów na terapii w ośrodkach zamkniętych.



Rekordzistami zaliczają się po kilkanaście pobytów w „domach pod lasem”

„Królestwo Monar, zbrojne w pogardę dla nauki i barbarzyńskie podejście do pacjenta, okopuje się” – pisze Jacek Charmast w swoim liście. Wygląda na to, że są to okopy nie do zdobycia, bo na pytanie, kto mógłby skutecznie zainterweniować w sprawie rozwiązania krakowskiego CTN, Piotr Jabłoński, dyrektor KBPN, odpowiada krótko: – Nikt. To wewnętrzna sprawa stowarzyszenia.

– Tyle że działa ono głównie dzięki pieniądзом podatników, bo dostaje środki od NFZ – zwracamy uwagę. – Czy krajowe biuro nie jest uprawnione do przeprowadzenia kontroli skuteczności leczenia w ośrodkach?

– To bardzo trudne i kosztowne. Ośrodki bronią się przed tym, nie mamy mechanizmów sprawczych, aby kontrolę wymusić – odpowiada dyrektor Jabłoński.

Może więc działania stowarzyszenia mógłby skontrolować prezydent miasta stołecznego Warszawy, bo Monar zarejestrowany jest w stolicy? Wiceprezydent Włodzimierz Paszyński, odpowiedzialny za sprawy społeczne: – Dostaliśmy e-mail z prośbą o pomoc, ale sprawa dotyczy Krakowa. Wywiązywanie się stowarzyszenia z umów z podmiotami państwowymi może badać NIK.

Ośrodki bez kontroli

Na naszą prośbę Najwyższa Izba Kontroli przesyła „Przekrojowi” wyniki dwóch kontroli dotyczących współpracy organizacji pozarządowych z instytucjami państwa. W żadnym z nich jednak o Monarze nie ma ani słowa. Zresztą krytyka nie jest tam mile widziana.

Gdy przewodnicząca Łazuga-Koczurowska dowiadyuje się, że Jabłoński nazwał rozwiązanie Centrum Terapii Narkomanów „modelową strukturą”, grzmi do słuchawki: – Dyrektor Jabłoński nie wie, co mówi, nie ma pojęcia, czym był CTN! Jeszcze będzie się musiał z tych słów tłumaczyć. To ingerencja w wewnętrzne sprawy organizacji!

Po czym już spokojnie tłumaczy, że centrum zostało rozwiązane, bo dochodziło tam do wewnętrznych konfliktów. Na Zygadłę i jego żonę (była w Centrum Terapii Narkomanów kadrową, pracowała w Monarze na długo przed ślubem) skarżyła się połowa pracowników. I kto dobrze z nimi żył, mógł się czuć bezpiecznie, pozostali byli odsuwani. Zygałdo nadużywał więc władzy.

Sam Marek Zygałdo tłumaczy: – Zwolniłem kilka osób, bo z braku pieniędzy wymuszono na mnie redukcję etatów.

– Dlaczego, jeśli były problemy personalne, rozwiązano całą strukturę, zamiast wymienić kierownictwo? – pytamy przewodniczącą.

– Parasol w postaci Centrum Terapii Narkomanów nie jest potrzebny. Poszczególne placówki działają niezależnie – tłumaczy Jolanta Łazuga-Koczurowska.

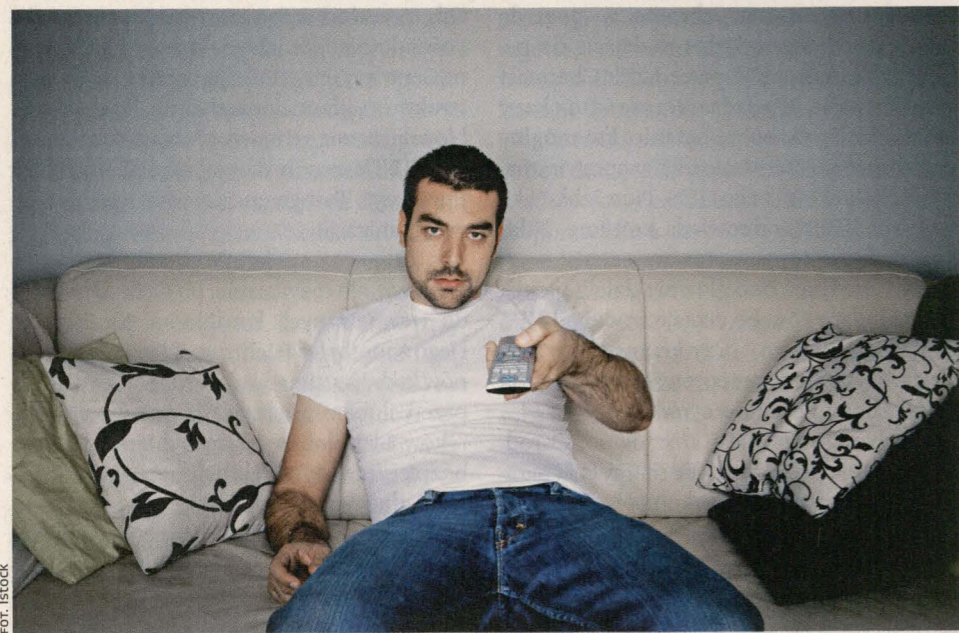
Od stałego mieszkańca Domu Gwan, weterana po wielu nieudanych monarowskich terapiach, usłyszeliśmy jednak: – Ludzie są przerażeni. Marek Zygałdo chronił nas przed tyranią jedynie słusznej metody, która takich jak ja wyrzucała poza nawias, skazywała na zapomnienie.

– Jak można mu zarzucić działanie na szkodę stowarzyszenia? – pyta superwizor Józef Leśniak. Wspomina, jak podczas konferencji w Miami w USA Marek Zygałdo prezentował dokonania krakowskich placówek: – Wszystko pod szyldem Monaru. Nie mówił „Marek Zygałdo” czy „CTN”, tylko „Monar”.

Pierwsza taka ochrona

W lutym Marek Zygałdo i popierający go specjaliści rozpoczęli rejestrowanie Międzyzakładowego Związku Zawodowego Pracowników Monaru. – Traktujemy to jako formę obrony przed szykanowaniem przez władze stowarzyszenia – tłumaczy Zygałdo. – Robimy to w sytuacji zupełnej bezradności i braku reakcji ze strony jakiegokolwiek instytucji na to, co się dzieje w Monarze.

Powstaje więc pierwszy w Polsce związek zawodowy, który ma bronić praw pracowników i członków przed stowarzyszeniem. Stowarzyszeniem, które kiedyś założył Marek Kortański, by wspierało tych, którzy już na niczyją pomoc liczyć nie mogą.



Ucieczki z kanałów

Fajny film wczoraj widziałem. Momenty były? No masz! Najlepsze w reklamie sera, dezodorantu i tabletek na kaszel

DONAT SZYLLER

Na taki dialog muszą się przygotować wszyscy miłośnicy dobrego filmu. Już dziś pocięte reklamami programy w telewizjach komercyjnych wielu ogląda z irytacją, a będzie jeszcze gorzej. Rząd przygotował bowiem ustawę, która umożliwi znacznie częstsze emitowanie bloków reklamowych. Dziś film fabularny może być przerywany spotem co 45 minut. Wkrótce na śledzenie akcji zostanie nam tylko pół godziny – po tym czasie znów zaatakują nas reklamy.

– To będzie katastrofa – ocenia medioznawca, profesor Urszula Jarecka z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. – Jaką przyjemność można czerpać z tak pociętego filmu? Część widzów zniechęci się do telewizji.

Z reklamą nie wygrasz

Widzowie jednak nie porzucą telewizora na zawsze. Będą śledzili popularne programy rozrywkowe czy seriale, których fabułom poszatkowanie reklamami nie szkodzi. W przypadku filmów, zwłaszcza tych ambitniejszych, będzie inaczej. – Można zaryzykować

tezę, że to początek końca seansów filmowych w telewizji. Wymagający widz, który smakuje narrację, wciąga się w fabułę, nie znieśnie ciągłego wytrącania go z historii. Taki seans straci cały smak – ostrzega profesor Jarecka.

Telewidzowie, czyli my, już teraz są zniechęceni przerwami w seansach. Reklamy ogląda tylko co piąty widz (22 procent). Według badań GfK Polonia z początku lutego 2011 roku w czasie bloku reklamowego co 3. Polak sięga po pilota i zmienia kanał, a 23 procent wychodzi z pokoju, by na przykład zrobić sobie herbatę (część pewnie tę reklamowaną). Co 10. wyłącza dźwięk, a najbardziej poirytowani – 4 procent – gaszą telewizor.

Mimo to Karol Smolağ, rzecznik TVN, uważa, że nowa ustawa nie odstraszy widzów. Argumentuje, że nie zmieni się limit reklam, które można wyświetlić w ciągu godziny (12 minut plus 3 minuty na promocję własnych programów). – Z perspektywy widza nie ma różnicy, czy obejrzy 6 minut reklam co pół godziny, czy 12 co godzinie – uważa Smolağ.

– Ależ jest różnica – oponuje profesor Urszula Jarecka. – Kinoman poszuka wrażeń gdzie indziej – tłumaczy.

– Ta ustawa jest niezbędna do wdrożenia unijnej dyrektywy, z którą i tak jesteśmy spóźnieni o rok i dwa miesiące – mówi „Prakrojo” posłanka PO Iwona Śledzińska-Katarasińska, która pracuje nad projektem ustawy. Dlatego rząd nadał projektowi tryb pilny i chce, by Sejm głosował nad nim już za kilka tygodni. Posłanka przyznaje, że dyrektywa służy głównie rynkowi reklamy, ale „wejście do Unii ma swoje plusy dodatnie i plusy ujemne”. – Dla mnie jako wroga agresywnej reklamy to ten ostatni – dodaje posłanka.

Plusy ujemne widzi nie tylko ona.

Piraci odpywiają

– Liczba niezadowolonych widzów z pewnością wzrośnie – nie ma wątpliwości Jan Wiecki, szef Stowarzyszenia Polskich Włóczęgów, otek skupiającego wypożyczalnie DVD. Prowadzi się na badania, które przeprowadził na swoim siaciu klientów. Prawie wszyscy stwierdzili, że reklamy zniechęcają ich do oglądania filmów w telewizji. – Co więcej, bloki reklamowe są długie, że gdy się skończą, wielu widzów nie pamięta akcji filmu – mówi Wiecki.

– To prawda. Widz wie, że nie ucieknie przed reklamą, ale chce, by serwowano ją w rozsądny sposób – potwierdza Wojciech Komar, który z domu mediowego AT Media specjalizującego się w mediach tematycznych, w tym kanałach płatnych. W tym filmowych, z których większość nie przerywa swoich programów reklamami. W ciągu pięciu lat ich oglądalność zwiększyła się trzykrotnie – do siedmiu procent udziału w dziennym zapotrzebowaniu na telewizję (wynosi on obecnie cztery procent na przeciętnego Polaka).

Czy z planów zwiększenia częstotliwości reklam cieszą się wypożyczalnie? Nie ma znaczenia. – Ludzie i tak nie wypożyczają więcej DVD. Od ośmiu lat liczba klientów maleje o dwa do pięciu procent co roku. Ci, którzy przestają oglądać telewizję, sięgają do Internetu pełnego pirackich, nielegalnych, za darmo dostępnych filmów – tłumaczy Wiecki.

Według Instytutu Badań Rynkowych i Opinii do ściągania filmów z sieci przyznaje się trzeci internauta. Wśród nich aż 61 procent nie ogląda, jak Humphrey Bogart przekazuje Ingrid Bergman, że jeśli nie odleci z meksykańskiego samolotu, to nie będzie żałować, „może nie dziś, nie jutro, ale wkrótce – i to przez całe życie”. I nikt mu nie przerywa, by pozachwalać wyjątkową ciekawość nowych pieluch.

KRÓTKO

W lutym nieprzestępny policjant się raduje

Czule pilnowani skazani

Będzie lepszy nadzór nad więźniami, którzy są ważnymi świadkami w procesach karnych

Wzmocniona ochrona i mniej widać (chyba że z lekarzem) – prezydent Bronisław Komorowski podpisał ustawę, która wprowadza nowe zasady pilnowania szczególnych więźniów. Przepisy zmieniające kodeks karny wymusiło życie, a właściwie śmierć. Samobójstwa w celach popełnili: Wojciech Franiewski, Sławomir Kosciuk i Robert Pazik – aż trzech spośród porywaczy i zabójców Krzysztofa Olewnika. Nie żyje też świadek w sprawie zlecenia zabójstwa generała Marka Papawy Artur Zirajewski. Zmarł w styczniu 2010 roku w szpitalu aresztu w Gdańsku z powodu zatoru tętnicy płucnej. Kontrola przeprowadzona po jego śmierci wykazała, że w areszcie dochodziło do nieprawidłowości przy wydawaniu leków, niewłaściwie były sprawdzane cele i listy przychodzące do osadzonych. Nowe przepisy

nakazują staranniej obserwację zdrowia więźniów, którzy są świadkami w procesach (włącznie z otoczeniem ich opieką psychologiczną), ale też zakładają dokładną kontrolę korespondencji. Więzień świadek ma być objęty wzmożoną ochroną przez sześć miesięcy (z możliwością wydłużenia tego okresu). Będzie go można osadzić w celi dla szczególnie niebezpiecznych skazanych i przyznać mu ochronę osobistą, jaką mają świadkowie koronni (za jego zgodą).

W ubiegłym roku życie odebrało sobie 31 więźniów, ponad 200 samobójczych zamachów służba więzienna udaremniła. **MAŁGORZATA ŚWIĘCHOWICZ**

RACZKOWSKI PONOWNIE



ILORAZY

Przez żołądek do mózgu

Dzieci, które jedzą dużo chipsów, słodyczy i innej przetworzonej żywności, mają niższy iloraz inteligencji niż rówieśnicy ze zdrowszą dietą – twierdzą naukowcy z University of Bristol. Wyniki ich badań opublikował „Journal of Epidemiology and Community Health”. Przebadali dietę i inteligencję czterech tysięcy dzieci. Sprawdzali, co jedzą w wieku trzech, czterech i siedmiu lat. Okazało się, że te, które od najmłodszych lat spożywały dużo owoców, warzyw i ryb, miały w testach sprawdzających poziom IQ wyniki o kilka punktów lepsze niż te maluchy, których menu składało się z żywności bogatej w cukry proste i tłuszcze typu trans.



CO MÓWIĄ LICZBY

79 procent

INTERNAUTÓW UŻYWA PROSTYCH DO ZŁAMANIA HASEŁ. ZoneAlarm, producent oprogramowania firewall, sporządził (na podstawie wycieków danych) listę najpopularniejszych haseł: 1. miejsce – liczba 123456, 2. 12345, 3. 123456789. Dalej robi się cklewite: 4. Password, 5. iloveyou. Numer 9. to 12345678. Miejsca od 11. do 18. to hasła bliskie użytkownikom: Nicole, babygirl, Jessica, michael, Ashley. Zestawienie zamykają cyfry (19. 654321) i litery (20. Qwertz). 26 procent użytkowników Internetu swoje zabezpieczenie układa z 6 znaków. Tylko 1 procent ma 13-znakowe hasła. Dla 4 procent internautów hasłem jest anagram słowa „password”. **WOJ**

Chrzest, który mówi

Anglikańscy księża coraz częściej mają wrażenie, że gdy mówią podczas nabożeństw do wiernych: „Odpokutujcie za grzechy”, „Wyrzeknijcie się zła wszelkiego” czy „Zwróćcie się do Pana”, nikt ich nie rozumie. W celu uatrakcyjnienia przekazu synod Kościoła anglikańskiego zmieni liturgię chrztu na bardziej przemawiającą do wiernego XXI wieku. To część inicjatywy, która ma zwiększyć liczebność wiernych Kościoła Anglii. – Język, którego używa BBC One, byłby lepszy od obecnego żargonu teologicznego – przyznaje wieloletni Tim Stratford, odwołując się do kanału rozrywkowego brytyjskiej telewizji państwowej.

– Nie dałoby się przecież oglądać „EastEnders” z dialogami wziętymi wprost z języka dramatów Szekspira – tłumaczy.

Nie wszyscy duchowni są tak entuzjastyczni. Wielebny James Dudley-Smith twierdzi, że „modernizacja” języka religijnego tak zbruka ceremonię, jak dodanie śpiewu piłkarza Liverpoolu Stevena Gerrarda do piosenki Beatlesów.

iPad nie rozgrzesza

Rzecznik Stolicy Apostolskiej ksiądz Federico Lombardi pozbawił złudzeń grzeszników miłujących nowe technologie. Oznajmił, że Watykan stanowczo nie zgadza się, by wierni używali do spowiedzi aplikacji na iPhone'a i iPada przygotowanej przez amerykańską firmę Little iApps. Lombardi przyznaje co prawda, że „Confession: A Roman Catholic App” może być przydatna podczas rachunku sumienia („Czy brałeś udział w praktykach okultystycznych?”, „Czy pamiętasz o Bogu w codziennej modlitwie?” – to niektóre pytania), ale nie zastąpi bezpośredniego kontaktu z duchownym, który oprócz tego, że grzechów wysłucha, musi je odpuścić. Lombardi podejrzewa, że chodzi o zwykły biznes „zerujący na istotnej rzeczywistości religijnej, jaką jest sakrament pokuty” (aplikacja kosztuje około dwóch dolarów). Nie mówił nic o tym, czy Watykan odpuści grzech lekomyślności przedstawicielom Konferencji Biskupów Katolickich USA, którzy pomagali stworzyć aplikację.



Milion mieć, a najlepiej dwa

Po co mi to ciągle balansowanie na ostrzu brzytwy? Pytam o to siebie każdego dnia. I za każdym razem odpowiadam w ten sam sposób: bo to jest mój wybór, bo sama tego chciałam. **Z KRYSYNA JANDĄ** rozmawia Grzegorz Miecugow

Nie nosi pani orderu?

- Wszystkie ordery i nagrody są w gablocie w kasie teatru, jak w każdym porządnym zakładzie rzemieślniczym certyfikaty i dyplomy.

Miło jest dostać odznaczenie?

- Miło. Bo jest to dowód, że to, co się robi, jest ważne, wartościowe i zauważane.

Była pani zaskoczona?

- Byłam.

A co było napisane w uzasadnieniu?

- Nie było uzasadnienia. Pan prezydent, wręczając mi order, powiedział, bardzo miło, że wszyscy dziękują mi za to, iż dzięki mojemu aktorstwu mogą być tak blisko spraw, o których opowiadam, bo gram prawdziwie i łatwo jest się z tym, co gram, zidentyfikować.

Czy jest pani w stanie zdefiniować, czym jest sztuka?

- W ogóle tego nie definiuję. Do niczego nie jest mi to potrzebne.

Ale gdy bierze pani do ręki tekst, to jakimiś kryteriami się kieruje. I albo ten tekst bierze, albo odrzuca.

- No tak. Przede wszystkim interesuje mnie jakość przedsięwzięcia, czyli dlaczego to ma być i o czym. Ładnie to nazywał Zbyszek Cybulski. Mówił, że trzeba wachać czas, to znaczy, że trzeba wiedzieć, co się dzieje dookoła, i czy to, co się robi, będzie miało dla odbiorcy znaczenie. Trzeba czuć, czym zajęte są umysły i nerwy widowni, żeby to, co się robi, trafiło na dobry grunt, na swój moment. To nie jest łatwe, ale czasem też coś, co wydaje się anachroniczne, nieaktualne, jak na przykład scenariusz filmu „Parę osób, mały czas” o Mironie Białoszewskim, nagle okazuje się odkrywcze i awangardowe i na nowo przypomina nam o wartościach, o których zapomnieliśmy.

Czyli to jest trochę działalność usługowa?

- To są usługi dla ludności, ale jednak na naszych zasadach, to znaczy nie przekraczamy pewnej granicy przyzwoitości. A każdy wyznacza ją sobie sam.

Po pięciu latach działalności Teatru Polonia ma pani tę granicę wytyczoną?

- Tak, mam. I muszę powiedzieć, że to wszystko nie wygląda tak różowo, jak mi się wydawało. Prowadzenie teatru tak zwanego artystycznego, bez stałych dotacji, jest właściwie utopią. I dzisiaj to wiem. Wierzę też, że można zrobić teatr, który zarobi dużo pieniędzy, i to wcale nie jest trudne, tyle że trzeba, niestety, zapomnieć o ideałach, marzeniach, o własnym guście i o tym, co chciałoby się oglądać.

Sprostytuować się?

- Aż tak nie. Trzeba po prostu zniżyć loty. Kiedyś francuski reżyser Yves Boisset, z którym pracowałam, powiedział mi, że robił 10 reklam, żeby zrobić jeden politycznie i społecznie ważny film. Proszę nie brzmieć, czy ja chcę robić 10 tytułów, które zarabiają, by zrobić jedną wartościową moim zdaniem pozycję czy choćby rolę. Mam w głowie kilka tekstów, które na pewno nie będą atrakcyjne dla tak zwanej szerokiej publiczności, ale według mnie są warte zrobienia i podjęcia każdego wysiłku. Ale też wiem, że poszłyby 20-30 razy przy nieporadnych salach. I mam wybór: albo to zrobię, albo nie. I wieczne myślenie, jak zrobić i co zrobić dookoła, żeby ten spektakl był grany i uratował.

Tworząc teatr, spodziewała się pani, że jesteśmy bardziej otwarci na trudniejszą sztukę?

- Trochę tak. Ale też może być i tak, że ja źle prowadzę teatr. I nie mówię tu o stronie artystycznej, lecz administracyjnej i finansowej. Bo na przykład jeżeli decyduję się robić tytuł dochodowy, a takim może być choćby „Weekend z R.” - sztuka świetnie napisana, gram w niej z wielką przyjemnością - wydaję na scenografię, kostiumy i w ogóle przygotowanie spektaklu więcej, niż to jest konieczne...

Jest pani niegospodarna?

- To nie tyle niegospodarność, ile zmierzanie do wyższej półki artystycznej, wyższej jakości. I tu nie chodzi o zarabianie. Jeśli coś przynosi nam dochód, to nikt tych pieniędzy nie bierze, tylko wspierają one trudniejsze spektakle, dofinansowują je albo idą na następną produkcję, która powinna być jak najlepszej jakości.

I to się jakoś domyka?



Wiem, że można zrobić teatr, który zarobi dużo pieniędzy, i to wcale nie jest trudne, tyle że trzeba, niestety, zapomnieć o ideałach, marzeniach, o własnym guście i o tym, co chciałoby się oglądać

KRYSZYNA JANDA

→ - No właśnie się nie domyka, ponieważ mam za dobry gust i za wysokie wymagania artystyczne (*śmiech*).

To kto dokłada do interesu?

- Na razie nikt. Chociaż ciągle mamy pętlę na gardle. I to nawet wtedy, gdy gramy 60-70 razy w miesiącu, po dwa spektakle dziennie. Dodatkowo inne spektakle jadą w tak zwaną trasę i też przywożą jakieś pieniądze, ale i tak ledwo domykamy miesiąc. Głównie bierze się to stąd, że mamy drogie do utrzymania budynki. Och-Teatr wymaga nadzwyczajnych nakładów finansowych i ciągłych inwestycji. Myślę, że odechnęlibyśmy troszkę, gdybyśmy mieli milion złotych dotacji na każdą ze scen. Pozwoliłoby to na minimum ryzyka. A jak wiadomo, w sztuce ryzyko jest motorem działania. Milion to niewiele przy tak działających scenach i takim repertuarze.

Od miasta?

- Wszystko jedno od kogo.

Mimo to stworzyła pani drugi teatr, wiedząc, że są takie kłopoty.

- Nie, nie wiedząc. Skala koniecznych inwestycji w budynek Och-Teatru zupełnie nas zaskoczyła.

Żałuje pani tej decyzji?

- Nie. Oczywiście mogłabym prowadzić Polonię, mały teatr na 270 miejsc, grać sama co jakiś czas i mieć spokój, ale wydawało mi się, że powodzenie i różnorodność repertuaru Polonii wytworzyła presję na stworzenie kolejnej sceny. I takie miejsce powstało, i jest to nowa jakość z nowymi planami artystycznymi. Tylko doszły te nieprzewidziane wydatki.

Jeżeli brakuje tego miliona...

- Dwóch milionów.

...to może trzeba się sprzedać? Przy nazwie teatru dodać logo jakiegoś sponsora?

- Bardzo chętnie. Dla mnie i fundacji to nie jest żaden problem. Tyle że takiego sponsora generalnego nie ma. Biznes nie wierzy w teatr. Najlepiej widać to w telewizji - Teatr Telewizji umarł między innymi dlatego, że reklamodawcy nie chcą się przy nim reklamować.

Ale szukacie sponsora?

- Pomagają nam, ale nie w takim wymiarze, jaki byłby konieczny. Ciągłe prowadzimy rozmowy i jesteśmy naprawdę otwarci, ale to nie wygląda różowo. Bo co my możemy zaoferować? Teatr to sztuka elitarna i nawet jeśli przychodzą do nas tłumy (około 270 tysięcy osób rocznie), to nie jest to w żaden sposób porównywalne z meczem czy jakimkolwiek programem telewizyjnym.

A sam honor bycia sponsorem kultury nie jest pociągający?

- Przeględamy gdzieś na poziomie zarządów wielkich firm. Oni wolą kupić bilety dla swoich pracowników, niż być sponsorem generalnym sceny. Prawdopodobnie wiedzą, że to nijak nie przełożyłoby się na ich interesy.

To może całość powinna być inaczej zorganizowana? Może prywatne teatry - po spełnieniu określonych warunków - też powinny móc liczyć na pomoc państwa albo miasta?

- Tyle że my nie jesteśmy instytucją kultury.

Jak to nie?

- Według prawa nie jesteśmy. My jesteśmy fundacją, a tylko instytucje wpisane do rejestru instytucji kultury mają dostęp do tej ogólnej puli pieniędzy.

To jest to błąd prawa.

- Też tak uważam. Szczególnie w tej nowej sytuacji, w nowym pejzazie teatralnym Polski. Owszem, możemy występować o różne granty, pasząc bardzo szczegółowe projekty artystyczne, uzasadnienia, ale i tak suma pieniędzy, którą mogą dostać twórcy niezależni, jest minimalna w stosunku do tej, jaka jest przeznaczona na państwowe instytucje kultury. I nic się w tej sprawie nie rusza, chociaż liczyłam, że będziemy pierwszą fundacją, która podpisze z państwem umowę o partnerstwo. Jest nawet stosowna ustawa, która to umożliwia, ale ona nie działa, bo nie ma tak zwanych rozporządzeń. Wszystko rozbija się o prawny niuans. A my jesteśmy naprawdę elastyczni, możemy pomóc realizować Ministerstwu Kultury konkretne cele, tematy. Za realne pieniądze możemy państwu dać coś, co jest mu potrzebne. Zresztą co ja mówię. Dajemy! Od pięciu lat!

Ale tak by mogło być tylko wtedy, gdyby politycy rozumieli, że to my jako obywatele jesteśmy ich pracodawcami. Politycy nie zdają sobie sprawy z tego, że powinni wychodzić naprzeciw obywatelom, w tym także naprzeciw pani działaniom.

- Bardzo słusznie pan mówi, tylko że...

Czy pani już się pogodziła z tym, że politycy są słabi?

- W jakimś sensie się pogodziłam i skapitulowałam. Przystąpiłam do tak zwanych ogólnych zasad. Piszę plan artystyczny na trzy lata z nazwiskami i uzasadnieniem, czego nie robi żaden dyrektor teatru i nie ma obowiązku się z tego liczyć. Nam dają z tego jedną dziesiątą pieniędzy, które przedstawiamy w kosztorysach produkcji. Rozliczani jesteśmy do ostatka

złotówki. Ostatnio minister kultury powiedział mi, że nawet nie wchodził, że to są tak małe pieniądze w skali naszej działalności i że gdyby mógł dać więcej, toby dał, bo on chodzi do mojego teatru, ale nie może dać, bo nie ma takich przepisów. I nawet nie on, ale komisja złożona z przedstawicieli środowiska. Więc bierzemy te pieniądze, które stanowią 10 procent naszego generalnego budżetu, i staramy się zamieniać na granych spektaklach jak najwięcej, aby mimo wszystko zrealizować plany artystyczne i inwestycje. I czekamy, aż coś się zmieni.

Ile osób pani zatrudnia?

- Mamy 30 etatów na dwa teatry, a wszyscy pozostali, czyli około stu artystów i wielu innych, pracują na umowy-zlecenia. To jest proporcjonalnie odwrotna do tych w państwowych teatrach. Tam zespół artystyczny jest ułamkiem w stosunku do etatów pozaartystycznych. Jest na przykład stałych etatów jest 140, to zespół artystyczny liczy około 30 osób.

Jeżeli są takie kłopoty, to jak wytłumaczyć to, że ciągle powstają nowe teatry?

- Dlatego, że ludziom, którzy je robią, wydaje się, iż na tym można coś zrobić, bo jeszcze tego nie sprawdzili. My po pięciu latach stałej działalności, podczas których pracujemy jak niewolnicy, doszliśmy do konceptu. Ostatnio zapytałam dyrektora naszych teatrów o to, co będzie dalej. Bo dla mnie jest to pytanie strategiczne, bo nie wiem, jak dalej żyć.

I co odpowiedział?

- Że wszyscy: księgowość, on, ja, moja córka, która zajmuje się Och-Teatrem, spotkamy się w marcu i spojrzymy sobie głęboko w oczy. Bo Polonia to Polonia, da sobie radę. Natomiast problemem jest druga

strona. I trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, czy rezygnujemy z marzeń i wynajmujemy ją na koncerty i w ogóle każdemu, kto chce się tam pojawić, czy ciągniemy dalej.

Czyli Och-Teatr może paść?

- Paść nie. My wiemy, jak zarobić na tej sali. Tylko to się musi wiązać z ograniczeniem produkcji teatralnej, szczególnie ambitnej. Musielibyśmy na przykład podpisać kontrakt z teleturniejem, powiedzmy na dwa tygodnie, a potem przez tydzień dawać koncerty, a potem tylko tydzień grać nasze spektakle.

Nie da się utrzymać z rzeczy, nazwijmy to, wartościowych?

- Nie.

Nawet w ponaddwumilionowym mieście, którym jest Warszawa?

- Nie da się. Trudne teksty da się zagrać co najwyżej 50 razy dla około 400 widzów, ale żeby to miało finansowy sens, trzeba by zagrać minimum 100 razy. Jednak tak było zawsze, gdy grałam w Teatrze Powszechnym też. „Makbeta” również nie wystawialiśmy 100 razy, i to niezależnie od pieczołowitości produkcji i fantastycznej obsady. 50 razy 400 osób daje 20 tysięcy. Tyle mamy teatromanów.

A może to jest brak dobrej promocji?

- My mamy bardzo dobrą promocję.

Może zatem teatr nie jest w ogóle dobrym produktem do promowania?

- Jest świetnym. Tyle że przyjęło się, iż kulturalny człowiek w Warszawie ma obowiązek znać produkcję teatralną.

W filmie powinno być łatwiej, a nie jest.



Krystyna Janda

Zadebiutowała w „Człowieku z marmuru” (1976) Andrzeja Wajdy fenomenalną rolą energicznej dziennikarki Agnieszki. Często grywała kobiety niespokojne, z wewnętrznym ogniem. Wystąpiła między innymi w „Przeglądaniu” Ryszarda Bugajskiego (nagroda Jury w Cannes), „Dyrygencie” i „Tataraku” Andrzeja Wajdy, „Zwolnionych z życia” Waldemara Krzystka (nagroda w San Sebastián). Założyła Fundację Krystyny Jandy na rzecz Kultury i w ramach jej działalności stworzyła jedno z pierwszych prywatnych teatrów w Polsce - stołeczne Polonię i Och-Teatr.

- Za najlepszych czasów polskiego filmu, wtedy, gdy robiliśmy „Człowieka z żelaza”, rocznie kręcono w Polsce 35 filmów. W tej chwili powstaje około 70, z czego dwie trzecie nie wchodzi do dystrybucji.

Dlaczego?

- Nikt nie chce ich oglądać, bo są za trudne.

A dlaczego nie można zrobić takiego filmu jak na przykład „Jak zostać królem”, który ma dobry scenariusz, jest o czymś i w dodatku nie jest strasznie drogi?

- Jest genialnie grany. Myślę, że dałoby się taki film zrobić, ale się nie robi.

Ciekawe dlaczego?

- Ciekawe. Ostatnio czytam dużo sztuk teatralnych i mniej więcej co czwarty dramat dotyczy współczesności: 30-latk, problemy z pracą, z dziećmi i tak dalej. I naprawdę z wielu tych sztuk dałoby się zrobić scenariusz porządnego filmu środka. Ale takich scenariuszy w ogóle nie ma. Nasze ambitne kino ma to w pogardzie. Albo robi się kompletne badziewie dla szybkiego zarobku, albo tak artystyczne filmy, że nie można na nie znaleźć widza. Nie ma w ogóle kina środka.

W kinie jest drożej niż w teatrze.

- Ale kinematografia ma pieniądze. Nie wiem, nie potrafię odpowiedzieć na te wszystkie pytania. Teraz zajmuję się publicznością teatralną, czyli tak zwaną wyższą. Na przykład kiedy produkujemy spektakle Krzysztofa Materny czy Staszka Tyma, to wiem, że są to rzeczy dla inteligencji, że ten rodzaj żartu, abstrakcji nie jest przeznaczony dla szerokiej widowni. Miejsce dla Tyma jest właśnie w teatrze, bo kabarety coraz częściej wyrabują żarty siekierą. Robię też trudne sztuki. Teraz będziemy produkować nową rzecz, tekst, który zdobył ważną nagrodę. „Obce ciało” to historia działacza Solidarności, który zmienił płęć. Szalenie interesujący tekst o współczesnej Polsce. Bardzo trudny i bardzo kontrowersyjny. Ale żeby to „poszło”, było nie tylko dobre, ale i grane, muszę pomyśleć, co wyprodukować wcześniej i co później. Każdy trudny tytuł obudowuję dwoma łatwiejszymi, takimi oczywiście, jakie sama chciałabym obejrzeć, poniżej pewnego poziomu nie schodzimy. Tak jak nasza publiczność, która wychodzi ze Staszka Tyma czy z ostatniego Wojcieszka i następnym razem ma apetyt na dużą rzecz, inną, z większą wystawą. Więc robimy musical „The Rocky Horror Show”. Drogą produkcją, widziałam dzisiaj kosztorys przedsięwzięcia - 600 tysięcy złotych, dla nas to prawdziwe szaleństwo. Ale „The Rocky Horror Show” to kultowy tytuł, na który nasza widownia czeka, bo wie - i my wiemy - że tego typu wydarzenia w teatrze tworzą wartość dodaną.

Duże ryzyko?

- Ryzykujemy... W razie czego wyjdę na scenę i zagram Shirley sto razy i jakoś się pozbieramy.

Ale pani jest nakręcona.

- No jestem nakręcona, ale co mam robić? Nie mam wyjścia.

Podziwiam panią za tę energię.

- Jak ja siebie podziwiam! Co rano nie mogę uwierzyć, że jestem taka „głupia”. Co rano ledwo wstaję z łóżka. Niedawno się okazało, że mam trzy przepukliny kręgosłupa i płuca. I z wenflonem prosto ze szpitala jadę grać, bo mamy sprzedane spektakle. Ale co mam zrobić? Gdybyśmy odwołali, to leżymy. I zastanawiam się, jak długo jeszcze będziemy chodzić po brzytwie, bo ja chodzę już po ostrzu brzytwy. Przychodzę do ministra, do dyrektora biura teatrów warszawskich, oni na mnie patrzą i mówią: jak nam pani żal, jak my pani współczujemy. Albo na przykład: my chcemy Jandę widzieć na scenie, po co pani się zajmuje magazynem, w którym pękła rura? Czy dziurami w dachu? No po co? No właśnie: po co? Tak się zastanówmy, mówię, po co? Bo to jest mój wybór, bo sama tego chciałam.

Powrót lodowych wojowników

W latach 80. Polacy zadziwiali świat, czyniąc z himalaizmu zimowego swoją specjalność. Dzisiaj powracają, próbując pokonać ostatnie niezdołane zimą ośmiotysięczniki

BARTEK DOBROCH

Na łatwiejsze z najwyższych szczytów świata każdego lata wchodzi tłumy. Wiele z tych gór przestało być już wielkim wyzwaniem dla najlepszych alpinistów. Są areną osobistych zmagani dla wszelkiej maści turystów, którzy za odpowiednią opłatą z pomocą przewodników, tragarzy oraz lin oplatających zbocza niemal pającą siecią wchodzi na ośmiotysięczniki, przede wszystkim na Mount Everest. Jednak zimą góry te pozostają tak samo niedostępne i puste jak przed 20 laty, kiedy o tej porze roku działali tam właściwie tylko Polacy.

Z dziesięciu ośmiotysięczników zdobytych o tej porze roku aż na ośmiu po raz pierwszy stanęli właśnie nasi rodacy. Wszystkie położone są jednak w Himalajach. Wielką ambicją najlepszych wspinaczy jest zimowe wejście na najwyższe szczyty położone w Karakorum – surowych, słynących z ekstremalnie trudnych warunków górach na pakistańsko-chińskim pograniczu. Przez 23 lata bezskutecznie próbowano tego dokonać. 2 lutego świat obiegła wieść – Gaszerbrum II został zdobyty zimą. Ostatnie minuty dobrej pogody wykorzystali międzynarodowy zespół wspinaczy. Na liczącym 8035 metrów szczycie stanęli Włoch Simone Moro, Kazach Denis Urubko i Kanadyjczyk Cory Richards.

W stawce pozostały już więc tylko cztery szczyty. Oprócz leżącego na zachodnim krańcu Himalajów samotnego masywu Nanga



for. www.polskihimalaizmzimowy.pl

Parbat reszta znajduje się w Karakorum. Poza drugim pod względem wysokości szczytem świata K2 są to Gaszerbrum I oraz Broad Peak. Na tę ostatnią, położoną 8047 metrów nad poziomem morza górę wspina się właśnie polska wyprawa. Jej zorganizowanie jest pierwszym znaczącym efektem programu „Polski himalaizm zimowy 2010-2015”, który powołał do życia Artur Hajzer. To jeden z ostatnich wspinaczy współtworzących złotą erę polskiego himalaizmu lat 80., którzy mierzą się jeszcze z najwyższymi górami. Dzisiaj przejmuję rolę, którą wtedy odgrywał Lider, jak zwano ojca polskiego himalaizmu, pioniera wypraw zimowych Andrzeja Zawadę.

Artur Hajzer stara się zaszczepić ideę zimowego zdobywania najwyższych szczytów świata młodszemu pokoleniu alpinistów. Zmotywować ich, wyszkolić, wreszcie

umożliwić im wyjazd. Założeniem programu jest zorganizowanie jednej wyprawy mowej rocznie i treningowe wyprawy letnie w góry wysokie. A także coroczne szkolenia i selekcje mające wyłonić szeroką kadrę, z której rekrutować się będą uczestnicy kolejnych wypraw. Ludzie, którzy połączą bakcyla tej jątkowo trudnej odmiany alpinizmu.

Inaczej – śmierć

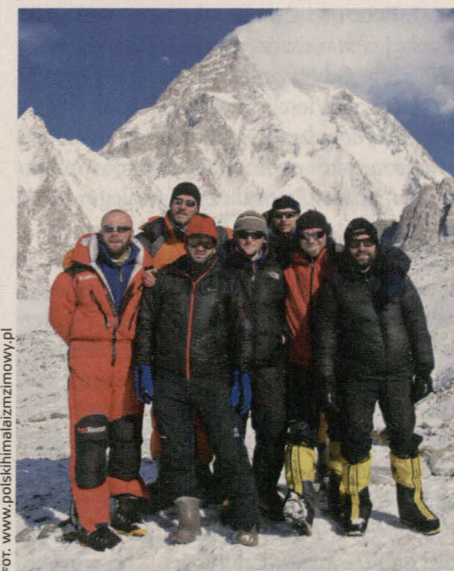
Podczas lektury założeń i celów programu można odnieść wrażenie, że chodzi o wyprawę w kosmos. Tymczasem uczestnicy muszą być gotowi na przetrwanie w naprawdę ekstremalnych warunkach. Zimy w Karakorum są znacznie surowsze niż w Himalajach, Nepalu czy Tybecie. Jest tam aż o 10 stopni chłodniej – zwykle -35 stopni Celsjusza na wysokości 8000 metrów. Jednak to nie pro-

leży znacznie bliżej morza niż Himalaje. Ciepłe masy powietrza znad Zatoki Perskiej zderzają się tam z zimnymi napływającymi znad bieguna. Gradient ciśnieniowy, czyli różnica ciśnień, jest tam znacznie większy, a więc i wiejące wiatry są silniejsze – tłumaczy Gabl.

Dzięki balonom meteo wypuszczanym przez armię amerykańską „Anioł od pogody”, jak zwany jest Gabl, odnotował na wysokości 9500 metrów na granicy Iranu i Afganistanu wiatr wiejący z prędkością 360 kilometrów na godzinę. Dla porównania – słynny huragan Katrina w szczytowym momencie rozpuścił się do 280 kilometrów na godzinę.

Ten rok był jednak nietypowy. Początkowo zamiast wichury w Karakorum panowało tylko przenikliwe zimno, -50 stopni na 8000 metrów. Jednak huraganowe podmuchy wróciły. 5 lutego polska wyprawa meldowała: „Wiatr daje nam się we znaki również w bazie. Dzisiejszej nocy odleciał namiot toaletowy, powrócił już na swoje miejsce, ale wzmagaający się huragan już pracuje nad kolejnym odlotem. Bazę zawiewa śnieg, two-

Wciąż pod górkę – polscy lodowi wojownicy na stoku Broad Peak. Gwoli wyjaśnienia, powierzchnia, po której porusza się wspinacz, to czysty lód



for. www.polskihimalaizmzimowy.pl

szujące zimno jest główną przeszkodą w drodze na szczyty, lecz huraganowe wiatry wiejące ze średnią prędkością 140 kilometrów na godzinę, a w porywach osiągające nawet 180 kilometrów na godzinę. W takich warunkach odczuwalna temperatura może spadać nawet poniżej -70 stopni. – I jeszcze ten huk, gdy siedzi się w namiocie i słyszy ciągłe buczenie na górze. Te masy powietrza drgają cały czas – opowiada Jerzy Natkański, uczestnik kilku zimowych wypraw, który pozostając w Polsce, koordynuje także obecną.

W kwestiach pogody Artur Hajzer, szef wyprawy, powołuje się na wiedzę Karla Gabla, austriackiego alpinisty i meteorologa, eksperta od warunków panujących w najwyższych górach Azji, który w ośrodku w Innsbrucku od lat przygotowuje prognozy dla himalaistów z całego świata. – Karakorum

rzają się zaspy, mesą rzuca, jakbyśmy płynęli łódką, a nie byli przytwierdzeni do lodowca setkami kilogramów kamieni”.

Artur Hajzer spodziewał się takich przeszkód: „Zakładamy, że trzeba będzie wchodzić w złych warunkach. Okna pogodowe mają tam zazwyczaj do 12 godzin. To oznacza, że z obozu szturmowego (kilkaset metrów różnicy poziomów) trzeba wejść, a raczej wbiec na szczyt i wrócić w ciągu sześciu godzin! Inaczej – śmierć” – pisał.

Szklane góry

Mimo ekstremalnych warunków zima nie zbierała tam tragicznego żniwa. Podczas 23 polskich wypraw zimowych na najwyższe szczyty Himalajów i Karakorum w górach zginęły tylko trzy osoby. To niewiele przy liczbie ofiar, które pociągnęło za sobą lato. Nie oznacza to jednak, że zimą jest bezpieczniej. Po prostu w tym czasie jest dużo mniej wypraw. Wprawdzie silne wiatry wywiewające śnieg minimalizują ryzyko lawin, ale go nie wykluczają. Kilka dni temu podczas zejścia z Gaszerbruma II Cory Richards i Denis Urubko porwani przez lawinę cudem ocalili.

Te same wiatry powodują, że podłoże jest zbite, zlodowacone. W rzadko pojawiającym się słońcu szczyty lśnią jak szklane góry. – W lecie idziemy z kijkami w śniegu i jeżeli się przewrócimy, to się przewrócimy. Zimą idziemy na przednich zębach raków i jeżeli się przewrócimy, to lecimy do podnóża góry – opowiada Hajzer. Broad Peak bez powodzenia atakował zarówno latem, jak i zimą.

Aby temu zapobiec, niemal na całej górze trzeba rozpiąć kilometry poręczówek – stałych lin ubezpieczających odcinki między obozami. To wszystko kosztuje mnóstwo czasu i wysiłku. Potrzeba więc ludzi. Dobrych wspinaczy z doświadczeniem zimowym (choćby tatrzańskim), dobrze znoszących duże wysokości, z wytrzymałością maratończyków. W tak trudnej dziedzinie jak himalaizm zimowy ogólne doświadczenie górskie jest jednak kluczowe. Dlatego „młodzież” na wyprawie to ludzie po trzydziestce. Do tego „młodego pokolenia” należy Krzysztof Starek, rocznik 1973 (ten sam, →

→ w którym wejście Polaków na Noszaka, najwyższy szczyt Afganistanu, zapoczątkowało nurt wypraw zimowych w góry wysokie). W ekipie liczącej dziewięciu członków jest jedynym, który nie atakował jeszcze ośmiotysięcznika, ale też – według Hajzera – jest najlepszym wspinaczem. Dwa lata temu wraz z dwójką partnerów pokonał potężną północną ścianę szczytu Malanphulan w Nepalu. Kilka miesięcy po tym sukcesie, za który wspinacze odebrali w Polsce najwyższe górskie laury, na Starka i jego partnerów spadły gromy. Podważono trudności ściany, porównując jej przejście do spaceru z laską, a analizy zdjęć wykazały, że wspinacze – wbrew temu, co twierdzili – nie osiągnęli nawet głównej grani. Mówiono o oszustwie.

– Mam żal, że tak to się potoczyło. Może byliśmy już w takiej euforii po tych 30 paru godzinach wspinania się non stop, marznięcia, że w wyniku zmęczenia i ciemności popełnił błąd w ocenie miejsca, gdzie skończyliśmy wspinaczkę. Ale czy to powód, żeby zarzucać nam kłamstwo? – zastanawia się Starek.

Woli mówić o ostatniej wyprawie w górach Tien-szan. O pomocy ofiarom choroby wysokościowej, głowie rozciętej przez kask po uderzeniu kamieniem, szybkim wejściu na swój pierwszy siedmiotysięcznik, o załamaniu pogody i dramatycznych pięciu dniach zejścia.

Góry i biznes

Doświadczeń podobnych do tych, z którymi zetknął się Starek, 48-letni Artur Hajzer ma dziesiątki. Na pytanie, co ciągnie go zimą w najwyższe góry, odpowiada żartem: – Kryzys wieku średniego. A nagabywany: – Sława i powodzenie u kobiet. Wie pan, jak żona bardziej kocha po takiej wyprawie?

Trwająca ponad 25 lat kariera Hajzera w górach wysokich doskonale odzwierciedla dzieje polskiego himalaizmu w ostatnim ćwierćwieczu. Mógłby być niemalże personifikacją jego losów. Głorii, dramatu, „wycofu” i powrotu.

Zaczynał tak jak wszyscy najwięksi, jeszcze gdy polygonem polskich himalaistów był niedostępny dziś z powodu wojny Hindukusz. Na jego najwyższym szczycie stanął w wieku 21 lat. Współtworzył złotą erę polskiego himalaizmu, jako dwudziestokilkulatek towarzysząc w ostatnich wyprawach Jerzemu Kukuczce. Jako pierwszy wyszli zimą na najniebezpieczniejszy ośmiotysięcznik Annapurnę. Trzy razy z Krzysztofem Wielickim próbował rozwiązać „problemu XXI wieku”, jak Reinhold Messner (bodaj najślynniejszy himalaista) nazywał południową ścianę Lhotse.

Tuż po trzeciej nieudanej próbie na Lhotse Hajzer zorganizował brawurową akcję ratunkową po Andrzeja Marciniaka, którego pięciu kolegów, polskich himalaistów, zginęło pod lawiną u podnóża Everestu. Hajzer wbrew przeciwnościom dotarł do zamkniętego dla obcokrajowców Tybetu, gdzie dotknięty śnieżną ślepotą Marciniak czekał na pomoc.

Po przemianach w roku 1989 bohater tamtej akcji został porwany przez wir nowej rzeczywistości, który wyrzucił na niziny większość



for: Bogdan Jankowski/Forum

wcześniejszych zdobywców najwyższych gór i wciągnął ich w zdobywanie szczytów biznesu. Ci, którzy nie pamiętają sukcesów lat 80., mogą kojarzyć Artura Hajzera właśnie z tą działalnością – wypromował markę Alpinus, dzisiaj produkuje odzież i sprzęt marki HiMountain. Do wysokogórskich wypraw powrócił dopiero po 16 latach i ten okres znów zamknęła spektakularna akcja ratunkowa. Tym razem to on czekał na pomoc. Podczas letniej wyprawy na Broad Peak na wysokości prawie 8000 metrów złamał nogę.

Szczęście w nieszczęściu dopisało mu także w Tatrach. Gdy trzy lata temu spadł z grani Czerwonych Wierchów z lawiną, spod śniegu szybko wydobył go TOPR, który Hajzer wspierał jako inicjator ogólnopolskiej akcji „Śmigło dla Tatr”. Znowu mógł liczyć na kolegów.

Naprzeciw cierpieniu

W ekstremalnych warunkach natychmiastowa fachowa pomoc to sprawa życia i śmierci. W składzie polskiej wyprawy na Broad Peak znalazł się więc też Robert Szymczak, lekarz, specjalista od medycyny wysokogórskiej. Po powrocie Hajzera w Himalaje dwa razy stawał z nim na wierzchołkach ośmiotysięczników. Dwukrotnie ratował go też z depresji, gdy ten w obozach w drodze na szczyt miał zaburzenia świadomości. – Na wysoko-

Czerwień obowiązywała zarówno w zimie 1980 roku podczas polskiej wyprawy na Everest, jak i obecnie, w drodze na Broad Peak. Ale nie dajmy się zmylić pozorom – to zupełnie inny sprzęt. Dziś już nie chodzi się w góry w relaksach



for: www.polskikhimalaizmzimowy.pl

ści, gdy ktoś zaczyna mieć halucynacje, czuć senność, pierwsze, o czym się myśli, to o braku mózgu – tłumaczy. – Tymczasem coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że tamte objawy były spowodowane niedotlenieniem, zatruciem tlenkiem węgla wywołanym przygotowanie w zamkniętym namiocie.

Himalajskie wyprawy Szymczaka są też przyczynkiem do jego obserwacji i badań naukowych. To, co dzieje się z organizmem człowieka na wysokości ponad sześciu tysięcy metrów, gdzie walczą ze sobą dwa procesy – aklimatyzacji i wyniszczenia – wciąż jest tajemnicą dla lekarzy i fizjologów.

Bardzo ważną rolę podczas wypraw zimowych odgrywa także psychika. Góry są wtedy puste, himalaiści zdani na długotrwałe przebywanie we własnym gronie, walkę nie tylko z górą, ale też z bezczynnością i nudą z braku pogody. – Tym razem wzięliśmy więcej słuchowisk, także audiobooki – mówi Artur Hajzer. – Ja w ramach terapii biorę książkę na temat wypraw arktycznych, gdzie ludzie siedzą po trzy lata. Wtedy te moje dwa miesiące dają się pestką – dodaje Szymczak.

Jego wyprawy zaczęły się od e-maila wysłanego do Krzysztofa Wielickiego. Pisał, że jest lekarzem, wspina się, ma czas, nie ma pieniędzy. Ku swojemu zdziwieniu dostał odpowiedź z zaproszeniem w roli lekarza na

mercyjną wyprawę z Wielickim. A to w swojej dyscyplinie człowiek instytucja. Razem z Leszkiem Cichym rozpoczął zimowe pasmo polskich sukcesów w Himalajach od największego. 17 lutego 1980 roku stanęli na wierzchołku Everestu, burząc tym samym światopogląd wielu autorytetów, którzy głosili, że o tej porze roku wejście człowieka na najwyższy szczyt świata jest niemożliwe. Potem razem z Kukuczką zimą zdobył trzeci szczyt świata, trudną Kanczendzongę. I w końcu w sylwestra 1988 roku Wielicki samotnie wszedł na Lhotse, poruszając się w gumowym gorsecie usztywniającym kręgosłup ze zmiażdżonym po wypadku w górach kręgiem.

Zagraniczni himalaiści patrzyli wtedy na niego i innych polskich himalaistów z podziwem, nadając im przydomek Ice Warriors – lodowych wojowników. Nie wszyscy jednak dzielili entuzjazm dla ich zimowych podwignów. Próbuje wyjaśnić zachodnim czytelnikom fenomen tej polskiej dyscypliny, nazywano ją sztuką cierpienia.

Powrót na szczyty

Po suchych dla tej sztuki latach 90. Krzysztof Wielicki próbował wskrzesić jej ideę w iście romantyczny sposób. Na początku nowego tysiąclecia wystosował do młodego pokolenia Manifest Zimowy, w którym pisał o zimo-

wych wejściach na ośmiotysięczniki: „My zdobyliśmy połowę. Teraz kolej na Was: młodych, gniewnych, ambitnych. Dajemy Wam też osiem lat – tyle, ile nam było potrzeba”.

Odzew nastąpił już w 2003 roku na wielkiej wyprawie Wielickiego na K2. Najwyższą wysokość – 7650 metrów nad poziomem morza – osiągnęli młodzi, Piotr Morawski i Marcin Kaczkan, uczestnik obecnej wyprawy, wraz z Kazachem Urubko. Morawski dwa lata później przerwał passę zimowych niepowodzeń, wchodząc z Moro na najniższy z ośmiotysięczników, tybetańską Sziszapangmę.

Niestety, dwa lata temu zginął w Himalajach, a marzenie Wielickiego, aby na wszystkie ośmiotysięczniki jako pierwsi zimą wyszli Polacy, rozwił polscy wychowankowie Moro i Urubko, dziś najlepsi himalaiści świata. W 2009 roku zdobyli piąty szczyt ziemi Makalu. Teraz wyprzedzili nas w Karakorum.

Bartek Dobroch

Urodzony w 1982 roku dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, przewodnik tatrzański, instruktor narciarski, miłośnik alpinizmu, podróżnik (był trzy razy w Himalajach, ale nie był jeszcze w Karakorum), laureat nagrody Amnesty International „Pióro Nadziei 2009” za cykl tekstów o tybetańskich uchodźcach w Indiach i Nepalu.

Polska wyprawa nie składa broni. Do jej sukcesu, zimowego wejścia na Broad Peak, może przyczynić się brak nestorów w składzie sportowym, duże wyprzedzenie organizacyjne i logistyczne, lepsze niż dotąd kombinezony i wkładki elektryczne do butów. A także brak zagranicznych uczestników. – Destrukcyjnie wpływali na działalność wypraw – ocenia Hajzer i podkreśla, że to pierwsza w XXI wieku wyprawa narodowa. Powrót do idei legendy polskiego himalaizmu Andrzeja Zawady, dla którego nie było istotne, kto wejdzie na szczyt, ważne, by byli to Polacy. Kontynuacja drogi Wielickiego, który jest honorowym kierownikiem obecnego przedsięwzięcia. Nawiązanie do marzeń Kukuczki, którego imię nosi dotująca przedsięwzięcie Fundacja Wspierania Alpinizmu Polskiego. Finansowego wsparcia udzieliło Ministerstwo Sportu, budżet domknęli sponsorzy i uczestnicy. Próba na Broad Peak ma kosztować 580 tysięcy złotych, cały projekt „Polski himalaizm zimowy 2010-2015” – aż 3,3 miliona złotych.

Niezależnie od powodzenia aktualnej wyprawy, w przyszłym roku Polacy podejmą największe wyzwanie himalaizmu – zaatakują zimą K2. Polski himalaizm staje na nogi. ●

REKLAMA

FREE SKI

Madonna di Campiglio (I) Apt. Ambiez 3* basen, naprzeciwko wyciągów Groste i Fortnini, od 1235 zł/os. **Val Gardena (I)** Apt. Boe 3* - 1300 zł/os. **Les 2 Alpes (F)** Les Residences 1650 od 1110 zł/os. **Tonale 1800 (I)** Apt. Palace 3* w Ponte di Legno, od 670 zł/os. **Livigno (I)** Hotel Original Gallis 3*HB - 1750 zł/os. **Vialattea (I+F)** Hotel Sport 3*HB, basen - 1935 zł/os.*

*Promocja!

druga osoba leci gratis.
SPRAWDŹ INNE OFERTY
SESTRIERE/SAUZE/BARDONECCHIA

+ samolot z Warszawy LOT Charters do Werony/Grenoble, lub autokar z 21 miast w Polsce. Ponad 550 ofert również w Austrii i Szwajcarii. Ww. oferta z 6 dniowym karnetem, pobytu od 19 marca.



Maszyna myśli posłuszna



Emotiv Epoc Neuroheadset z 14 sensorami odczytującymi fale mózgowe, czyli sterowanie myślami za 299 dolarów

Już dziś, nawet nie ruszając palcem, potrafimy za pomocą myśli wydawać komputerom i urządzeniom mechanicznym proste polecenia. Na razie z tego udogodnienia korzystają głównie niepełnosprawni. Jutro wszyscy będziemy tak sterować maszynami

MAGDALENA TOMKOWICZ

Imperium kontratakuje". Młody adept Jedi Luke Skywalker po odnalezieniu mistrza Yody na planecie Dagobah próbuje pod jego nadzorem siłą woli wyciągnąć z bagna statek kosmiczny. Koncentruje się, już-już widać kabinę... ale myśliwiec znów tonie w błocie.

Sama Moc, Luke, to za mało. Gdybyś korzystał z interfejsu mózg-komputer, potocznie zwanego BCI (*brain-computer interface*), poszło by ci łatwiej.

Ta wciąż postrzegana jako futurystyczna technologia, jeszcze wczoraj testowana w laboratoriach, dziś wchodzi do powszechnego użytku. Na tegorocznym Consumer Electronics Show w Las Vegas, gdzie zapowiadane są główne premiery roku, firmy InteraXon i Secret Exit zaprezentowały demo nowej odsłony „Zen Bound”, popularnej gry na iPada

i iPhone'a polegającej na starannym owijaniu drewnianej figurki sznurkiem. Nowość – teraz figurkę będziemy obracać za pomocą myśli.

Oczywiście nie bezpośrednio. Do wpływania myślą na rzeczywistość potrzebne jest oprzyrządowanie – zestaw mocowanych na głowie elektrod, które przechwycą impulsy nerwowe z mózgu i przekażą je do komputera, a ten przełoży je na odpowiednie działania. Dobra wiadomość: takie urządzenia są już dostępne na rynku. I wcale nie kosztują fortuny, to kwestia najwyżej kilkuset dolarów.

Nadal dużo? Spokojnie, sytuację zmieni efekt skali – popularyzacja takich rozwiązań będzie oznaczać większą konkurencję wśród producentów, a to wymusi obniżkę cen.

Kilka lat temu pisaliśmy w „Przekroju” o sterowaniu komputerem za pomocą myśli jako niezwyklej interfejsie przyszłości. Teraz nad-

szedł ten moment, gdy do używania go zaczęli się techniczni trendsetterzy – ludzie, którzy gotowi są wydać większe pieniądze, niżby korzystać z technicznych nowinek. Jeszcze parę lat, a czytanie myśli będzie równie proste jak korzystanie z pilota.

Czuj mózg!

Ludzki mózg jest nieustannie aktywny i trycznie. Niczym w wielkiej metropolii, w której jednocześnie nadają liczne radio, telewizje, sieci komórkowe i emiterzy bezprzewodowego Internetu, wylapanie z tego masywnego szumu jednej myśli to wyzwanie. Interfejsy EEG działają trochę jak odbiorniki radiowe – dzięki autorskim algorytmom wychwytyją regularności, izolują je i wzmacniają. Tak przetworzone dane można wykorzystać na wiele sposobów.

Kontroler NIA stworzony przez OCZ Technology z myślą o grach komputerowych



„Star Wars Force Trainer” firmy Uncle Milton oraz „Mindflex” Mattela, pierwsze korzystające z „mocy” zabawki, pojawiły się w 2009 roku. Za niecałe sto dolarów można poczuć się jak Luke Skywalker, kontrolując myślą lewitującą piłeczkę. Podobnie jak w aplikacji „Zen Bound” mechanizm jest prosty: czujnik odbiera fale alfa i beta odpowiadające głębokiej relaksacji i skupionej aktywności. Im bardziej gracz się koncentruje, tym szybciej obraca się figurka na ekranie (lub wiatraczek pod piłeczką). To jednak dopiero wstęp do możliwości interfejsów EEG.

Prawdziwa zabawa zaczyna się wraz z kalibracją urządzenia w komputerze. Krok pierwszy to nauczenie interfejsu wzorów myślenia użytkownika. Każdy producent ma na to swój sposób i oprogramowanie, ale zwykle nauka polega na wykonaniu paru ćwiczeń wyobraźni i uwagi, co trwa kilkadziesiąt sekund. Interfejs interpretuje i zapamiętuje indywidualne parametry aktywności mózgu (czasem również mimiki i oczu) odpowiadające wyobrażeniom kilkunastu różnych akcji, na przykład: pchnij, w górę, znikanie etc. Zapamiętane akcje można kojarzyć z funkcjami klawiszy, kursora myszy lub ze złożonymi komendami, a także łączyć w zestawy, tak zwane profile do obsługi wybranych programów użytkownika, gier czy urządzeń.

Otwarte źródło

Dzisiaj trwa walka o to, kto zagarnie największą część rynku. Podczas zeszłorocznej olimpiady zimowej w Vancouver punkty zdobyła firma InteraXon. Jej instalacje umożliwiły

(Epoc), NeuroSky (MindSet) czy OCZ Technology (NIA, czyli Neural Impulse Actuator). Należą one do tak zwanych nieinwazyjnych BCI, czyli nie wymagają wszczepiania do mózgu obcych ciał. Są proste w obsłudze i w przeciwieństwie do szpitalnych protoplastów wyglądają nowocześnie i atrakcyjnie. Oprócz fal mózgowych (alfa, beta, gamma, delta i theta) niektóre odczytują też ruchy źrenic i mięśni twarzy.

NIA powstał z myślą o graczach komputerowych. Podstawowy profil dla „Unreal Tournament 3” wykorzystuje interfejs do poruszania się i strzelania – mysz służy tylko do wybierania kierunku. Zaawansowane profile wymagają od użytkownika dużej kontroli nad impulsami, ale zostawiają wolną rękę. Wytrenowani gracze docenią szybkość bezpośredniej reakcji kontrolera na myśl czy tik w porównaniu z czasem, jaki zajmuje kliknięcie przycisku palcem.

MindSet i Epoc są bardziej uniwersalne. Zestawy NeuroSky i Emotiv zawierają kilka darmowych programów i gier, ale obie firmy zorientowane są na współpracę z zewnętrznymi twórcami aplikacji oraz badaczami. Cena edycji deweloperskiej Epoc wynosi 500 dolarów, MindSet z narzędziami dla projektantów kosztuje 199 dolarów. Dzięki nowoczesnemu modelowi biznesowemu w studiach, pracowniach i domowych zaciszach na całym świecie powstają już setki różnych aplikacji. Niepełnosprawni komunikują się i nawigują elektronicznymi wózkami oraz podsystemami inteligentnych domów. Zdalnie sterowane miniaturowe helikoptery unoszą się na samą myśl operatora. Inny program rejestruje emocje widza w trakcie oglądania filmu i umożliwia aktywowany impulsem natychmiastowy powrót do najstraszniejszego, najsmutniejszego bądź najwesejszego momentu produkcji. Zdolności mentalne mają być kluczowe w grze „Judecca”, zombi thrillerze, nad którym pracuje studio Square Enix. Osiągając stan umysłu jak w medytacji zen, gracz dostrzeże i wykończy niewidzialnych przeciwników. Będzie też mógł przenikać przez ściany.

To dopiero początek, a przecież możliwości interfejsów EEG już teraz sięgają granic wyobraźni. Owszem, urządzenia są wciąż niedośkonale, a sprawne korzystanie z nich wymaga długiej wcześniejszej praktyki. Mimo to jedna z największych fantazji ludzkości właśnie staje się rzeczywistością.



PLX XWave – gadżet do iPhone'a pozwalający śledzić aktywność swoich fal mózgowych

gościom kontrolowanie myślą iluminacji Niagara, budynku parlamentu w Ottawie i CN Tower w Toronto. Kanadyjska firma nie jest jednak pionierem czytania myśli. Pierwsze zestawy BCI do rejestracji i interpretacji impulsów mózgowych zaczęły się pojawiać na branżowych konferencjach około trzech lat temu. Bazując na stosowanej w badaniach klinicznych technologii EEG (elektroencefalografii), autorskie „hełmofony” wraz z oprogramowaniem stworzyły między innymi firmy Emotiv

Łebki do góry!

Po odkryciu układu słonecznego z sześcioma planetami świat znów ogarnęła kosmiczna gorączka. Spójrz w niebo i Ty - to przygoda dla każdego!

OLAF SZEWCZYK

Od kiedy teleskop Kepler wytropił dwa tysiące lat świetlnych stąd niezwykły układ gwiazdny z rekordową liczbą planet (zauważył już sześć, a może być ich więcej), przestrzeń kosmiczna znów rozpala wyobraźnię i przykuwa uwagę. Nie zostawij

w tyle! Trop kosmitów i podziwiał piękno naszego skromnego obejścia na peryferiach Wszechświata, a nawet sięgaj wzrokiem orlim dalszych okolic! Już za 199 złotych kupisz teleskop Celestron FirstScope 76 ozdobiony nazwiskami Twoich wielkich poprzedników, w tym Galileusza. A propos Galileja - swoim słynnym teleskopem, powiększającym około 30-krotnie, mógł zauważyć nawet księżyc Jowisza. FirstScope powiększa do 75 razy.

Jeszcze większe możliwości zapewnia Sky-Watcher Synta SK1309EQ2 za 599 złotych z maksymalnym użytecznym powiększeniem do x195. Świetny do obserwacji Księżyca, planet, ale też odległych gromad gwiazd i mgławic. Dowiedz się wreszcie, gdzie mieszkasz!

Dziękujemy **Deltaoptical.pl**



Wielka Mgławica w Orionie. Widzieliście, jak machają do nas stamtąd trójpalczastą łapką? Nie? Spójrzcie przez teleskop

Docelowy teleskop pasjonata astronomii - pokaże wszystko, co najpiękniejsze - nie musi kosztować fortuny. Sky-Watcher Synta SK1309EQ2 jest i w Twoim zasięgu



Twój pierwszy teleskop. Niezły, zwłaszcza dla góry. Celestron FirstScope 76!

Facebook - napompowany balon

Czy największy serwis społecznościowy pęknie z hukiem?

PRZEMYSŁAW PAJĄK



Nie było w historii Internetu takiego fenomenu, jakim jest Facebook. Żaden serwis nie zdobył 600 milionów użytkowników tak szybko. Żaden nie zrewolucjonizował sieci w tak wielkim stopniu. Przy okazji żaden internetowy twór w historii nie był tak sztucznie napompowany dolarami jak Facebook.

Na prywatnym rynku obrotu akcjami Facebook jest dziś wyceniany na 82,9 miliarda dolarów. To więcej niż wynosząca 75,2 miliarda dolarów wartość giełdowa giganta e-commerce sieci Amazona. Ze spółek internetowych tylko Google jest większa - obecnie jej wartość jest szacowana na 192 miliardy dolarów. Wygląda więc na to, że Facebook musi być gigantem światowego biznesu. Nie jest - serwis Marka Zuckerberga zebrał zaledwie dwa miliardy dolarów ze swojej działalności w 2010 roku. To śmiesznie mało, zwłaszcza w konfrontacji z 13 miliardami dolarów kwartalnego (!) przychodu Amazona.

Ktoś powie: Facebook jest na niesamowitej fali wznoszącej i nie musi jeszcze pokazywać gigantycznych liczb. To też nie do końca prawda. Historycznie porównując, Facebook rozwija się znacznie dynamicznie niż Google. W szóstym roku istnienia firmy, czyli w momencie, w którym jest dziś portal Zuckerberga, Google generował już prawie 3,5 miliarda dolarów przychodu.

Wycena serwisu na 83 miliardy dolarów oznacza, że każdy jego użytkownik jest dziś wart prawie 140 dolarów. A ilu z nich udostępniło Facebookowi numery swoich kart kredytowych i cokolwiek od niego kupiło? Kilkadziesiąt milionów? A co z resztą? Czy statusy, zdjęcia i komentarze każdego użytkownika, ba, nawet jego dane osobowe, naprawdę warte są 140 dolarów? Jeśli tak, to jak powinno się wycenić 160 milionów klientów iTunes Store Apple'a z kartami kredytowymi i historią regularnych zakupów?

Zuckerbergowi nie śpieszno na giełdę. Wie, co robi - dziś nie musi się przed nikim tłumaczyć. Panów w garniturach z walizkami pieniędzy gotowych zasilić go kolejnymi milionami nie brakuje. Do niedawna na ich czele stał Rosjanin Jurij Milner, szef największej spółki internetowej w Rosji Mail.ru. To on rozpoczął wyścig pompujący Facebooka. Po nim przyszedł inwestor o globalnej renomie Goldman Sachs.

Oni też wiedzą, co robią. Goldman Sachs kupił za 450 milionów dolarów udziały w Facebooku, by odsprzedać je z zyskiem swoim klientom. Dopuszcza inwestorów spoza Ameryki - inwestycje od dwóch milionów dolarów w górę. I kiedy Facebook w końcu trafi na giełdę napompowany oczekiwaniami i milionami od prywatnych inwestorów, rzucą się na niego mało świadomi potencjalnego ryzyka indywidualni inwestorzy



omamieni gigantycznymi wycenami na prywatnym rynku. Za pośrednictwem dokładnie tych samych instytucjonalnych graczy, którzy już wyłożyli setki milionów dolarów na biznes Zuckerberga, złożą zamówienia na jego akcje. Zarobią wszyscy dzisiejsi właściciele Facebooka.

Pytanie co dalej, kiedy po pierwszym zachwycie ktoś zacznie zaglądać do dokumentów finansowych firmy. Nagle może się okazać, że napompowana wycena nie ma uzasadnienia w przychodach i zyskach. Wtedy może wybuchnąć panika wyprzedzący akcji Facebooka podobna do tej, która miała miejsce 10 lat temu, kiedy pękała bańka dot.com. Wtedy też świat zachwycał się wycenami portali, które nie publikowały wyników finansowych, ale miały „.com” w nazwie. Skończyło się spektakularnymi bankructwami i płaczem tysięcy małych inwestorów, którzy lokowali w hity Internetu oszczędności swojego życia. Czy Facebook stojący na czele nowej bańki Web 2.0 też jest zagrożony? Zuckerberga, Milnera i Goldmana może to już wtedy nie interesować - w końcu będą miliardami.

Co jednak z milionami użytkowników Facebooka, którzy dzień rozpoczynają i kończą odwiedzinami swojego profilu? To oni, dzieląc się swoimi danymi osobowymi, budują potęgę serwisu Zuckerberga. Czy ktoś pomyśli o tym, co oni mogą stracić? Zdecydowana większość z 600 milionów osób zbudowała trwałe relacje z innymi użytkownikami serwisu, zamieściła w nim setki zdjęć, wysłała tysiące wiadomości. Dla wielu Facebook to dziś istotna część codzienności. Ewentualny krach firmy mógłby oznaczać załamanie się życia społecznego nowego typu.

Agatha bez ubytków

Obię audiobooki wcale się tego nie wstydzę. Są wygodne - gdy wychodzę z pracy po całym dniu gapienia się w ekran i mam przed sobą godzinę podróży do domu, daję odpo-

cząć oczom, angażując uszy. Oczywiście można pomstować, że to nie jest prawdziwa książka, że nic nie zastąpi papieru, ale warto chyba wykorzystać wolne chwile na dobrą literaturę.

A Agatha Christie jest świetna. Zwłaszcza że w przeciwieństwie do rozmaitych szemranych wydań audiobooków wypuszczone niedawno przez Wydawnictwo Omega to prawdziwe książki - nie skróty, nie słuchowiska, ale uczciwe pełne wersje doskonałych kryminałów. W dodatku w świetnych wykonaniach - teksty czytają Artur Dziurman czy Wojciech Malajkat. W tej chwili wydanych jest 10 tytułów, jednak w planach jest pełna ko-



Kolekcja audiobooków Agathy Christie, Omega, 24,90 zł

KAWIARNIA NAUKOWA
PRZEKROJ NAUKI

Skwer
Filia Centrum Artystycznego „Fabryka Trzciny”
Warszawa

Kawiarnia Naukowa ZAPRASZA NA DYSKUSJĘ

„CZY WIĘCEJ ZNACZY LEPIEJ?” - BLASKI I CIENIE POSTĘPU W NAUKACH MEDYCZNYCH

Postrzegamy współczesną medycynę jako dobrodziejstwo. A co, jeśli nasz zachwyty jest nieco na wyrost? Być może medycyna w jednakowym stopniu ułatwia nam życie, co stawia przed dramatycznymi wyborami. Z tą samą pasją leczy i... stwarza nowe choroby. Przywraca zdrowie jednym, innych skazując na wieloletnie cierpienie.

O paradoksach postępu w dziedzinie nauk medycznych opowie Weronika Chańska, filozofka, etyczka, autorka książki „Nieszczęsny dar życia”.

Zapraszamy: 21 lutego 2011 r. o godz. 18.
Skwer - Filia Centrum Artystycznego „Fabryka Trzciny”, Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 60a



Losujemy nagrody - książki Marii Siemionow „Twarz w twarz. Moja droga do pierwszego pełnego przeszczepu twarzy”. Społeczny Instytut Wydawniczy Znak

Robimy casting na Wałęsę

Zanim Andrzej Wajda przystąpi do zdjęć, my, „Przekrój”, postanowiliśmy wskazać najlepszych kandydatów do tytułowej roli w „Wałęsie”. Pomóżcie nam wybrać tego jednego. Wkrótce głosowanie na Facebooku

MAŁGORZATA SADOWSKA, KAROLINA PASTERNAK

Na razie wiemy niewiele. Andrzej Wajda szykuje filmową biografię legendarnego przywódcy Solidarności. Scenariusz autorstwa wybitnego pisarza Janusza Głowackiego powstaje, ale nikt nie chce powiedzieć, na jakim etapie teraz się znajduje. Film ma nosić tytuł „Wałęsa”.

Idealnego filmowego Wałęsę pomagali nam wybrać między innymi Jadwiga Staniszkis, Henryka Krzywonos-Strycharska, Antoni Dudek, Magdalena Środa, Wilhelm Sasnal, Jan Klata i Agnieszka Holland. Niektórzy dorzucali swoje kandydatury, prawie nikt nie był obojętny.

Oto galeria aktorów, których widzimy w roli Lecha Wałęsy.



Andrzej Chyra
(46 lat)

Wałęsa to człowiek o wielu twarzach, samorodek polityczny. Z wyborem odtwórcy jego roli jest trudniej niż z wyborem odtwórcy roli Kmicica. A wszyscy pamiętamy, jakie kontrowersje wzbudził wtedy wybór Olbrychskiego – mówi historyk, profesor Antoni Dudek. – Bo Wałęsa jest kimś w rodzaju Kmicica, ale żywego. Pojawia się w telewizji, jest skazany na porównania.

W tej roli profesor widziałby kogoś w typie Wojciecha Pszoniaka: – Ta sama osobowość, ten sam typ napięcia wewnętrznego, ale to już nie ten wiek...

Niejednoznaczność, wewnętrzne napięcie i odpowiedni wiek. Wszystkie te cechy wydaje się mieć Andrzej Chyra. Pięć lat temu zagrał elektryka Leszka w filmie Volkera Schlöndorffa „Strajk” opowiadającym o wydarzeniach Sierpnia 1980 roku w Stoczni Gdańskiej. Choć (wyjawszy wąsy) w ogóle nie był ucharakteryzowany na Wałęsę, nikt nie miał wątpliwości, co to za jeden, ów Leszek kroczący na czele robotników.

Pojawiają się opinie, że właśnie z powodu tego występu jest już spalony w roli przywódcy Solidarności. Ale, po pierwsze, pojawił się tam na drugim planie, po drugie, nieudanego filmu Schlöndorffa nikt już nie pamięta i chyba nie chce pamiętać. Są jednak inne wątpliwości: – Atutem Chyry jest podobieństwo do Wałęsy, ale to „wykształciuch” – tłumaczy reżyserka Anna Kazejak („Skrzydlate świnię”). – Wahałabym się obsadzić go w tej roli.

– Ma zbyt inteligentne rysy – zgadza się profesor Jadwiga Staniszkis.

Słabość można jednak przekuć w atut: ten właśnie aktor mógłby Wałęsę uszlachetnić, jeśli więc film Andrzeja Wajdy miałby budować legendę, to reżyser nie znajdzie lepszego odtwórcy głównej roli.

Chyra ma ten rodzaj ekranowej charyzmy, która predestynuje do grania liderów, ludzi o silnej osobowości. Zarazem niemal żaden z jego bohaterów nie jest chodzącym ideałem, z każdego wyłazi bezwzględność, porywczność, buta; bywają nieprzewidywalni

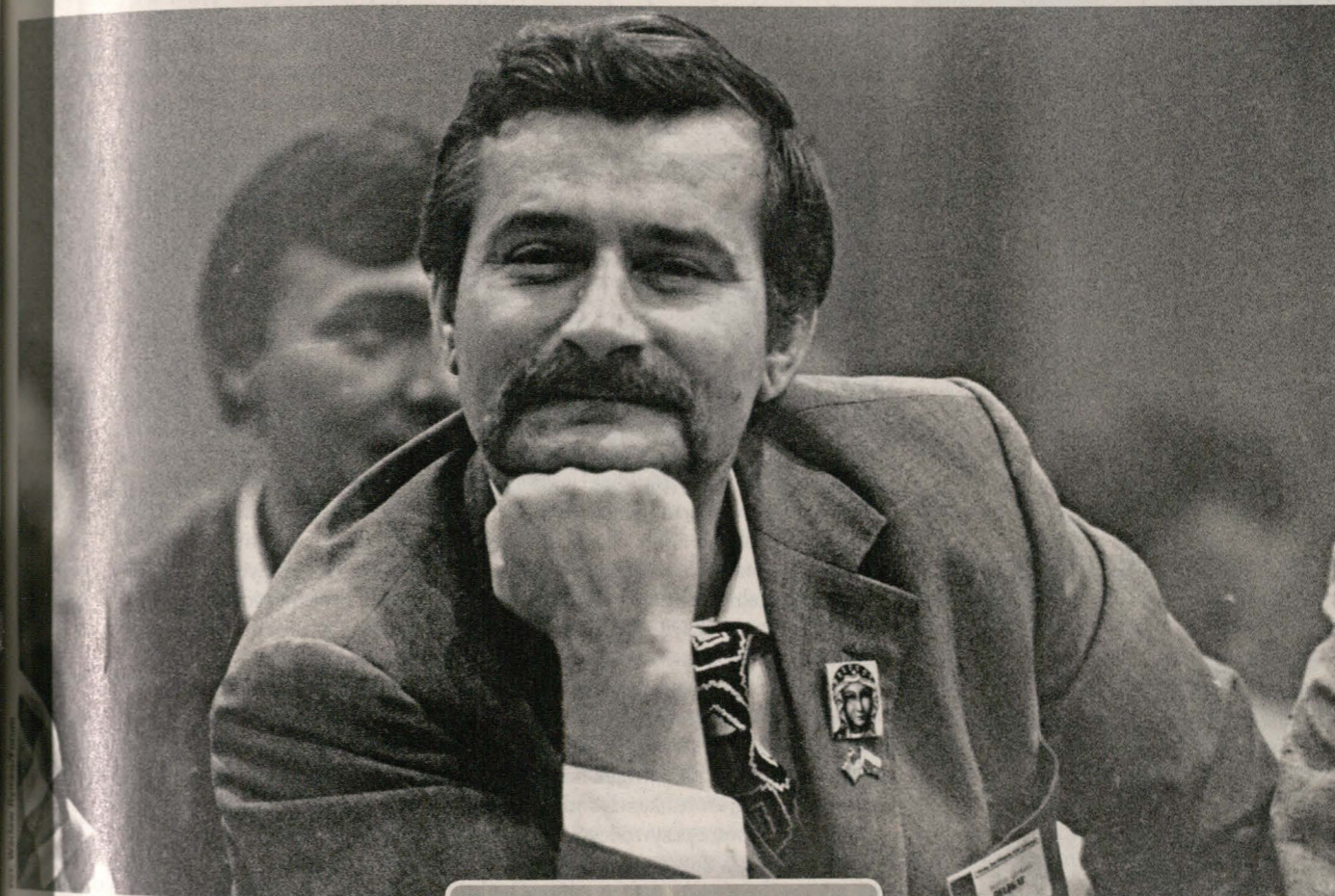
(pamiętacie „Dług”, „Katyń” czy „Komnata”?). Inteligencja i arogancja – on wiedział jak to połączyć. Nic więc dziwnego, że pyta o to, kto powinien wcielić się w Wałęsę, ma Wilhelm Sasnal nie ma żadnych wątpliwości – Andrzej Chyra, bo wierzę w każdego bohatera, którego gra.



Borys Szyca
(33 lata)

Szyca jest za młody – ocenia profesor Staniszkis. Jednak Borys Szyca byłby świetnym Wałęsą, gdyby reżyser zdecydował swojego bohatera odbrązowić, wyeksponować to, co w Wałęsie komiczne, a nawet testkowe. „Mnie można zabić, ale nie polać”, „Plusy Unii Europejskiej mają swoje plusy i minusy”, „Z kamieniami na czołku nie pójdę, bo mam przecież Pokojową” – Szyca cytowałby byłego prezydenta z równym wdziękiem, jak podobnie tekst Masłowskiej w „Wojnie polsko-ruskiej”. To byłby Silny rozrabiający na politycznych salonach.

Gęba swojaka, komediowy talent, umiejętność szarżowania na ekranie, niesłychana plastyczność – to największe atuty Szycy jako kandydata do roli Lecha Wałęsy. – Niby miał



Tomasz Karolak
(39 lat)

charakter: mieszankę wdzięku, cwaniactwa, sprytu – przyznaje Agnieszka Holland – ale jest bardzo zgrany i przez to się ujednotaczał w owym cwaniactwie. Trzeba by go też mocno ucharakteryzować, bo w przypadku tego bohatera potrzebne jest jednak podobieństwo fizyczne, a taka „ciężka” charakterystyka dobra jest do epizodu, inaczej czyni postać sztuczną.

Czy rzeczywiście Szyca nie jest ani trochę fizycznie podobny do Wałęsy? Jakiś czas temu dziennik „Metro” za pomocą programu komputerowego ucharakteryzował kilku polskich aktorów na lidera Solidarności. Borys Szyca jako jedyny wyglądał dokładnie jak on.

Idealny facet do roli Wałęsy? Na pierwszy rzut oka – zupełnie nie. Między aktorem a bohaterem nie ma cienia podobieństwa. Ten pierwszy jest wysoki i mimo wieku wciąż raczej chłopięcy (przyzwyczaił nas do ról wiecznych chłopców). – Tomasz Karolak fi-

zycznie mniej przypomina Wałęsę niż Robert Więckiewicz czy Chyra – zgadza się wybitny dokumentalista Andrzej Fidyk (jego zdaniem najlepszy odtwórca roli Wałęsy to „Andrzej Grabowski, gdyby miał dziś 30 lat”). – Ale jest pełen werwy i energii; cwany w pozytywnym sensie tego słowa.

No właśnie, bohaterów Karolaka cechuje rodzaj życiowego sprytu przy pozorach luzactwa. Garnitury ani dobre maniery nie pasują do jego bohaterów – zazwyczaj nieskomplikowanych facetów, którzy zawsze spadają na cztery łapy. Karolak to swojak, mógłby więc Wałęsę ocieplić, zrobić z niego „misia” podszytego jednak sprytem, →

Jeśli nie oni, to kto?

Kaczyński, De Niro i... Wałęsa – te nazwiska także padły w naszej sondzie

Piotr Marecki

filmoznawca, współtwórca Ha!artu i pomysłodawca think tanku Restart

Najlepiej Wałęsę zagrał... sam Wałęsa w produkcji Grzegorza Królikiewicza „Słuchaj narodu” z 1991 roku. Trzygodzinny film zupełnie nieznamy polskiemu widzowi to prawdopodobnie jeden z najlepszych portretów narodu i jego przywódcy w okresie transformacji. Obraz bardzo niebezpieczny, bo tapany na gorąco, jeszcze bez wiedzy na temat politycznego PR i wizerunku medialnego. Warto przypomnieć go na marginesie projektu Wajdy. Dziś można by się pokusić o psychodramę w stylu „Przypadku Pekosińskiego” Królikiewicza właśnie – niech więc sam Wałęsa zagra siebie młodego.

Zbigniew Libera

artysta

W roli Wałęsy mógłby wystąpić on sam. Jednak najbardziej intrygująca byłaby ta rola w wykonaniu mającego już przecież pewne doświadczenie aktorskie Jarosława Kaczyńskiego.

Borys Lankosz

reżyser

Ponieważ spekulacje tego rodzaju pozwalają na fantazjowanie, do roli Lecha Wałęsy zaproponuję Roberta De Niro. Chciałbym, by powtórzył swój wyczyn z „Wściekłego Byka”. Wyobrażam sobie, że w trakcie zdjęć udaje mu się zrzucić 30 kilogramów (za pomocą grafiki komputerowej twarz zdołna jest odmłodzić o kilka dekad). De Niro ze swoją charyzmą i wśród prawdziwych robotników w stoczni poczułby się jak w domu. Miałby szansę stworzenia wybitnej kreacji. Wśród statystów postać prezydenta odzyskałaby właściwy wymiar, film powstałby w języku angielskim, wielki aktor powróciłby nim na szczyt, który od dawna wydaje się dla niego nieosiągalny. Taki film chciałbym zobaczyć!



W latach 90. głośno było o hollywoodzkim projekcie filmu o Wałęsie, którego miał grać Robert De Niro. Film ten jednak nigdy nie powstał

FOT. SIPA/EAST NEWS

→ w dodatku mającego niezawodny instynkt. Nie byłby to bohater pomnikowy, tylko zwyczajny facet, który nie da sobie w kaszę dmuchać i któremu moglibyśmy sporo wybaczyć. Nie tylko ze względu na wiek Karolak to Wałęsa sprzed prezydentury, a może nawet sprzed Okrągłego Stołu.

Ten kandydat najbardziej przypadł do gustu profesor Jadwidze Staniszkis: – Tomasz Karolak świetnie sprawdza się w rolach ludzi, którzy chcą się wydawać głupsi, niż są naprawdę. Tak było z Wałęsą: często okazywało się, że z uwagą śledził wydarzenia wokół siebie i tylko udawał nieobecnego ducha.



Marian Dziędziel (63 lata)

FOT. RADOŚLAW NAWROCKI/Forum

Anna Kazejak: – Jest mniej więcej w tym samym wieku, mógłby więc zagrać Wałęsę współczesnego. Po charakterystyce do złudzenia przypominałby byłego prezydenta.

Z nieśmiertelnym wąsem i zmęczonym spojrzeniem jak nikt inny jest wiarygodny w roli przeciętnych Polaków, osobników ponurych, zapiekłych, z rzadka pocziwych, częściej podejrzliwych i zachłannych. Mógłby sprawdzić się doskonale w roli Wałęsy w czasach awanturniczej prezydentury, wojen na górze, politycznych intryg, które ukazały rodakom mniej sympatyczną twarz przywódcy Solidarności.

– Dziędziel gra zróżnicowane role, podobnie jak Lech Wałęsa w swojej politycznej biografii – przekonuje Sławomir Sierakowski, szef „Krytyki Politycznej”. – Jest do bólu polski i wiarygodnie odda nie tylko to, co wielkie w Lechu Wałęsie, ale także to, co czasem małostkowe i cwaniackie. Ten wybitny aktor potrafiłby pokazać charyzmę i rozsądek przywódcy robotniczego. Rola Dziędziela jako ojca rodziny w „Weselu” Wojciecha Smarzowskiego z pewnością przyda się jako inspiracja do odtworzenia w pełni postaci Lecha Wałęsy jako ojca narodu w czasie – co tu dużo mówić – nieudanej i „przecwanionej” prezydentury.

Mieszkający w Hamburgu pisarz Janusz Rudnicki („Cholerny świat”) też nie ma wątpliwości, kto byłby Wałęsą doskonałym: – Marian Dziędziel.



Robert Więckiewicz (43 lata)

Bardzo się cieszę, że powstanie biograficzny film o Lechu Wałęsie – mówi Henryka Krzywno-Strycharska, działaczka opozycji, sygnatariuszka porozumień sierpniowych. – Staram się przypominać młodzieży o tamtych wypadkach, w których rola Lecha była nieoceniona. Byłoby miło, gdyby zagrał go pan Robert Więckiewicz, ponieważ najbardziej przypomina mi Wałęsę z tamtych lat.

Ta kandydatura podoba się też Agnieszce Holland: – Nie wiem, o którym okresie życia Lecha Wałęsa opowiada projekt Wajdy. Ja sama pisałam kiedyś scenariusz dla Amerykanów o młodym Wałęsie – od czasów wojny do 1982 roku. Myśleliśmy o Robinie Williamsie, wówczas młodym i fizycznie podobnym do Wałęsy, mającym ten rodzaj kpiącego, trzykowskiego humoru. Ważne, że to bohater ludowy, nie może więc być koturnowym. Dopiero na prezydenturze Wałęsa się zmienił. Z racji osobowości i skali aktorskiej Więckiewicz byłby więc najlepszy, ale młodego Lecha już nie zagra.

Robert Więckiewicz byłby Wałęsą charakterystycznym i charakternym, niewątpliwie wydobylby ze swojego bohatera cechy ludzkie (i te pozytywne, i te mniej przyjemne). Mógłby pokazać wiarygodnie człowieka napędzanego przez kompleksy i ograniczoną ambicję.



Janusz Gajos (72 lata)

Wydaje się tak odległy od Wałęsy jak gentyński piłkarz Leo Messi od Mariusza Jopa. Ale kto wie? Pamiętacie Gajosa w Wajdowskim spektaklu Teatru Telewizyjnego „Bigda idzie” według Juliusza Kadane-

rowskiego? Fenomenalnie zagrał postać ambitnego chłopskiego działacza, chama, który pecha się do władzy. Gdyby Wajda chciał powtórzyć tamto bardzo satyryczne spojrzenie na polski parlamentaryzm i rodzinnych przywódców (Mateusz Bigda wzorowany był na Wincentym Witosie), gdyby miało znów powiwać grozą, Gajos byłby niezastąpiony.

Janusz Gajos jest w dobrym wieku, mógłby zagrać lekko, bo jest aktorem wybitnym i posiada wszystkie potrzebne do tej roli cechy – nie wątpi Kazimierz Kutz. – Z jego wdziękiem, osobowością, inteligencją mógłby na ekranie pokazać Wałęsę, jakiego nie znamy.



Mariusz Ostrowski (32 lata)

Michał Majnicz (35 lat)

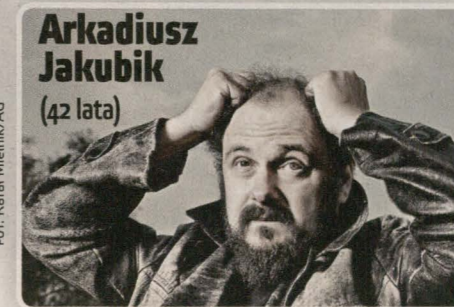
FOT. RAFAŁ MIEJLIK/AG

Wśród znanych mi młodych aktorów nie widzę nikogo, kto poradziłby sobie z tą rolą – mówi Agnieszka Holland. – Najlepiej byłoby odkryć tym filmem nową twarz, tak jak do „Człowieka z żelaza” odkryliśmy Jurka Radziwiłowicza.

Reżyser Jan Klata też jest przekonany, że w dobrej obsadzie chodzi tak naprawdę o rys psychologiczny, a nie o fizyczne podobieństwo. Obawia się jednak, że pod uwagę będą brani już opatrzeni aktorzy, a nie ktoś taki jak Michał Majnicz z Teatru Polskiego we Wrocławiu, który jego zdaniem jest świetnym kandydatem do roli Wałęsy: – Ma w sobie siłę witalną – przekonuje Klata. – Naturalne wodzostwo.

A jednocześnie nie ma w tym prerafinowania, potrzeby dzielenia włosa na czworo. A że Majnicz tej roli nie dostanie, to kwestia paranoi naszego życia filmowego, które nie umie i nie chce rozpoznać potencjału polskiego aktorstwa.

Innym nieoczywistym kandydatem jest Mariusz Ostrowski z Teatru imienia Stefana Jaracza w Łodzi, znany też ze świetnego występu w „Jestem twój” Mariusza Grzegorzka. Nieobliczalny, sięgający bez wahania po to, czego chce, aspirujący do lepszego świata – taki był jego bohater. Wałęsa w wykonaniu Ostrowskiego miałaby w sobie drapieżność i zachłanność charakterystyczne dla kogoś, kto bez oglądania się na innych pnie się w górę.



Arkadiusz Jakubik (42 lata)

FOT. RAFAŁ SŁODKSI/DZIENNIK/Forum

Za sprawą ról w filmach Wojciecha Smarzowskiego – notariusza Janochy w „Weselu” i inżyniera Środonia w „Domu złym” – stał się bohaterem arcywłoskim, skupiającym w sobie wszystkie nasze wady. Jakim mógłby być Wałęsą? – Historia Lecha Wałęsy to nie tylko opowieść o przywódcy z lat 70. i 80., ale też o prezydencie. Wtedy dopiero zaczyna się dramat człowieka, który zaszedł na sam szczyt i się pogubił – tłumaczy profesor Dudek.

Jakubik to jeden z najbardziej niewykorzystanych aktorów dramatycznych w naszym kraju. Gdyby zagrał Wałęsę, mógłby nie tylko

w końcu odesłać do lamusa Rysia z „13. posterunku”, ale też pokazać charyzmę, którą niewątpliwie ma. Wiedzą coś o niej członkowie ekipy jego „Prostej historii o miłości”. O to, żeby nakręcić ten film, walczył równie zawzięcie jak Wałęsa o porozumienia sierpniowe.



Krzysztof Globisz (54 lata)

FOT. BOGDANKREZEL.COM

Myślę, że duet Wajda-Głowacki podejdzie do tego filmu właściwie. Wajda ma tendencję do budowania monumentów, Głowacki – do ich dekonstruowania. A najlepszym kandydatem do roli Wałęsy jest Krzysztof Globisz, bardzo ekspresyjny aktor. Myślący, a przy tym zwariowany, tak jak były prezydent – mówi profesor Magdalena Środa.

To zaskakująca kandydatura, bo z Globiszem kojarzy się raczej spokój i ciepło, czyli to, czego pozbawiony jest Wałęsa znany z życia publicznego. Taki wizerunek aktora utrwaliły role: opiekuńczych ojców („Lejdis”), anioła („Anioł w Krakowie”). Ale to świetny aktor i wielkie wyzwanie.

– Bywałam w towarzystwie Wałęsy dosyć często – opowiada profesor Środa. – Zdziwiła mnie jego charyzma. W 10 minut potrafił zamienić przeciwników w zwolenników. Miał niezwykłą intuicję, ale też wady. Trzeba pokazać i jedno, i drugie, lecz nie chciałabym, żeby ktokolwiek obalał mit Wałęsy.

WSPÓLPRACA ANNA JASTRZEBSKA

WARSZAWA
centrum artystyczne
fabryka trzciny
18-19.02.2011

1ST
NORTHERN LIVING FESTIVAL
modern and naviar culture

northernlivingfestival.com

MUZYKA

JUNIP
FEAT. JOSÉ GONZÁLEZ
LUOMO
LINDSTRØM
PROMISE
AND THE MONSTER
MIKKEL METAL

DESIGN LITERATURA FILM

Lech bez pomnika

Czekam na film Andrzeja Wajdy o Lechu Wałęsie.
Cieszę się na film Andrzeja Wajdy o Lechu Wałęsie.
Boję się filmu Andrzeja Wajdy o Lechu Wałęsie

JACEK WAKAR

Dlaczego zajmujemy się filmem, którego jeszcze nie ma? Najprościej byłoby odpowiedzieć w sposób oczywisty: bo to będzie film Wajdy o Wałęsie. Nie ma znaczenia to, że ostatnie dzieła reżysera budziły kontrowersje. „Katyniowi” zarzucano zbyt oczywisty, edukacyjny charakter, w „Tataraku” z wątpliwościami przyjmowano złączenie w jednym niedługim filmie trzech planów: adaptacji opowiadania Iwaszkiewicza, osobistej historii Krystyny Jandy żegnającej się swym monologiem z mężem Edwardem Kłosińskim, wreszcie filmu w filmie stanowiącego autotematyczną ramę dla całości, gdzie pojawiają się prywatnie Wajda, Janda i członkowie ekipy realizatorów.

Jednak w „Katyniu” pojawiają się mocne fragmenty wyjęte żywcem z dokonań Szkoły Polskiej, a sam Wajda znów pokazuje w nich pazur mistrza. „Tatarak” zaś jest kinem czysto intymnym, jednym z najpiękniejszych filmów o nieuchronności śmierci, jakie kiedykolwiek u nas nakręcono.

Po drugie: Lech Wałęsa. W jego biografii zamykają się ostatnie dekady niejednoznacznej polskiej historii. Nasze kino przechodzi obok nich nieufnie, jakby nie chciało psuć dobrego samopoczucia widowni. Masakra w grudniu 1970 roku doczekała się skromnej, zapomnianej już „Skargi” Jerzego Wójcika, a teraz rekonstrukcji w „Czarnym czwartku. Janek Wiśniewski padł” Antoniego Krauzego. O stanie wojennym pośrednio i bez sukcesu mówili Waldemar Krzystek w „Ostatnim promie”, Janusz Kijowski w „Stanie strachu”, Krzysztof Tchórzewski w „Stanie wewnętrznym”, Jacek Skalski w „Chce mi się wyć”. O wydarzeniach Czerwca 1956 roku – „Poznań '56” Filipa Bajona, o Sierpniu 1980 – „Strajk” Volkera Schlöndorffa.

Były, rzecz jasna, filmy wybitne, dające wiwisekcję komunistycznego systemu, lecz stanowią one w nich tło – niezbędne, ale jednak tło. Sytuacji nie poprawiły też sączące się jak krople deszczówki biografie, bo ani film o generale Nilu, ani włosko-polskie żywoty Jana



Andrzej Wajda na planie filmu „Pan Tadeusz”

foto: Piotr Bujnowicz/Fabryka Obrazu/Fonum

Pawła II, ani hagiograficzny portret księdza Jerzego Popiełuszki nie wychodziły poza schemat grzecznej czytanki. Tymczasem biografia Lecha Wałęsy daje szansę na poprawę. To może być, powinien być, najważniejszy polski film tego czasu.

Dla Andrzeja Wajdy powinien on stanowić jeszcze jedną kodę. Od lat reżyser opowiadał, że po „Człowieku z marmuru” i „Człowieku z żelaza” czuje zobowiązanie, by nakręcić jeszcze jednego „Człowieka...” i zamknąć własną „polską trylogię”. Gdyby nie powstała wcześniej książka „Człowiek z krwi i kości” (Konrad Szolajski nakręcił według niej kuriozalnego „Człowieka z...”), ten tytuł byłby idealny. Jak ułał pasuje też do biografii Wałęsy.

Jest to bohater, który już dawno uciekł z pomnika i nie doczekał się dotąd pełnej oceny. Abstrahując od analiz panów Cenckiewiczza i Zyzaka, bo ich pokłosa nie muszą wcale oglądać na ekranie. Zostaje jednak niejednoznaczny czas pierwszej Solidarności. Chętnie zobaczyłbym Wałęsę na tle jego otoczenia, dowiedział się co nieco o jego ówczesnym przywództwie wspieranym przez jednych, a atakowanym przez innych ludzi związku. Chętnie poznałbym bliżej życie Wałęsy w latach 80., gdy funkcjonował jako nieformalny wódz narodu sankcjonowany przez wszystkich możliwych ówczesnych świata. Ciekawi mnie koń-

cówka tej dekady – od debat z Miodowiczem przez Okrągły Stół, aż do zwycięskich „drużyny Wałęsy” wyborów czerwcowych. To są fakty znane, lecz wcale nie do końca oświetlone. Film o Wałęsie pozwalałby zagłębić pod ich podszewkę.

Potem prezydentura, dziś też wymykająca się prostym ocenom. Dystans lat nie pozwolił na potępienie jej w czambuł, choć do teozy też daleko. Bo nie da się uniknąć opowieści o „wojny na górze” uderzającej przecięt w dowidisko samego Wajdy i stanowiącej zalążek dzisiejszego polsko-polskiego konfliktu. Można wymazać dworu prezydenta ani nazwać go kryształowym. Trudno też uniknąć opisu porażek Wałęsy, których owocem była przegrana walka o reelekcję oraz późniejsze nieudane powroty do polityki. A także dzisiejszy status – kogoś, kto egzystuje poza wszystkim jako ciekawostka, na obrzeżach alnego układu sił.

Najgorsze, co mogłoby spotkać ekranowego wodza, to próba wtłoczenia go w ramy biografii. Każdy wie, że Lech Wałęsa się w to nie mieścił. W dodatku byłoby to zabójstwo dla filmu. Można przecie inaczej, by wymyślić „Nixona” Olivera Stone’a. Tamten był kroniką upadku, dzięki wielkiej roli thony’ego Hopkinsa utrzymaną w wymiarze szekspirowskim, przywodzącą na myśl „Leara”. Biografia legendarnego przywódcy lidarności to materiał na całkiem inne kino, o ten mniej więcej rodzaj refleksji mi chodzi.

Warto pamiętać zawsze, że najłatwiej mienować człowieka pomnikiem. Również jednak byłaby próba biografii kierowana przeciw bohaterowi. Wałęsa na nią nie zasługuje, ponadto w jego losie zamyka się jeden z mitów założycielskich nowej Polski. O nakręceniu czegoś takiego oczywiście Andrzeja Wajdy nie podejrzewam. Przed reżyserem stoi zatem jedno z najtrudniejszych w jego karierze zadań. Nakręcić film o bogatej, pełnej sprzeczności postaci w piekielnie trudnych czasach – to tylko łatwo powiedzieć. Ale kto, jeśli on, miałby to zrobić?

NAJLEPSZE STRONY sukcesu



SEKS, broń w rękach kobiet

PSZONIAK I KRAUZE w duecie



KATARZYNA GLINKA: w pogoni za starością



ANDRZEJ GRABOWSKI: uwaga, nie dla Kiepskich



Sukces możesz kupić... w kioskach i salonach prasowych

Przypadek Saramonowicza

Geniusz czy egocentryk? Utalentowany scenarzysta czy wulgarny szowinista? Przez 10 lat **ANDRZEJ SARAMONOWICZ** dzielił polską publiczność, rządząc w zestawieniach box office'u. Teraz poniósł pierwszą frekwencyjną klęskę. Dlaczego Polacy nie chcieli się dowiedzieć, „Jak się pozbyć cellulitu”?

KAROLINA PASTERNAK



Jeden z wielu dubli na planie „Jak się pozbyć cellulitu”. Gwiazda Dominika Kluźniak i reżyser „tyra

Porażka Saramonowicza”; „Rozczarowujący wynik” – tak branżowe portale podsumowały premierę jego pierwszego samodzielnego filmu. Komedia „Jak się pozbyć cellulitu” nakręcona w koprodukcji z gigantem Warner Bros., ale bez Tomasza Koneckiego, czyli drugiej części nierozłącznego dotąd tandemu, w premierowy weekend przyciągnęła do kin 87 tysięcy widzów. To trzykrotnie mniejsza publiczność niż ta, którą udało się zgromadzić „Testosteronowi” (2007) i „Lejdis” (2008). Wyrok na „Jak się pozbyć cellulitu” wydali też forumowicze. „Saramonowicz bez Koneckiego się skończył” – oto stale przewijająca się w Internecie opinia. W sprawie publiczności kontra Saramonowicz oskarżonemu nie pomaga też to, że ma na obronę kluczowy dowód – zrobił najlepszy film w karierze. Czy naprawdę grozi mu dożywocie poza kinem? Zanim wydasz wyrok, zapoznaj się z materiałem dowodowym.

Wie, jak zdobyć pieniądze

Wspólnych produkcji Saramonowicza (scenarzysty, reżysera, producenta) i Koneckiego

(reżysera), w których jedni widzą przyjemną rozrywkę, inni szowinistyczne i mało śmieszne próby opisania damsko-męskich relacji, można nie lubić. Trudno jednak ignorować sukcesy, które odnieśli w zmianie sposobu myślenia na temat robienia w Polsce kina. „Testosteron” i „Lejdis” nakręcili bez współudziału Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, bez telewizji, szukając inwestorów spoza świata filmu – nie udało się to dotąd innym twórcom, nawet tym od czystej rozrywki.

Oba filmy odniosły wielki kasowy sukces, a zdobyte dzięki temu pieniądze Saramonowicz i Konecki zainwestowali... w kolejną produkcję – „Idealnego faceta dla mojej dziewczyny”. Miało być to spełnienie marzenia Saramonowicza, który chciał być producentem realizującym ambitne projekty za pieniądze z tych komercyjnych.

„Idealny facet...” miał też otworzyć nowy rozdział w działalności Van Worden, firmy producenckiej Koneckiego i Saramonowicza. Zanim jednak to się stało, skończyła się przyjaźń. Film realizowany już w atmosferze konfliktu między autorami nie tylko nie prze-

nał niechętnych duetowi krytyków, ale też oczarował jego fanów. Po premierze współpracy zamknęli Van Worden, po czym każdy rozpoczął pracę na własny rachunek.

Wie, jak kupić widza

Nic nie zmienił fakt, że nieudany „Idealny facet dla mojej dziewczyny” w kinach osiągnął świetny wynik – niemal 200 tysięcy widzów w pierwszy weekend. Spadek popularności następował stopniowo, dopóki ludzie przekazywali sobie wrażenia z filmu. – Na szczęście było z czego spadać – znajduje w rozmowie z „Przekrojem” Saramonowicz, który aż do „Jak się pozbyć cellulitu” brał udział w tworzeniu kampanii promocyjnych wszystkich swoich tytułów.

I bez wątpienia jest jednym z tych, którzy najlepiej w Polsce wiedzą, jak sprzedawać film za pomocą promocji. – Zastanawiam się nad metodą dotarcia do publiczności, przede wszystkim wyobrazić sobie usrednionego Kowalskiego z jego usrednioną wyjątkowością – tłumaczy reżyser. – „Lejdis” wyprzedzaliśmy zimą, a ta jest u nas obrzy-

ta i bez światła. Plakaty filmu miały więc dawać radość, stąd ten wielki, ciepły, różowy tytuł. Twarze aktorów są w puzzlach, bo każdy choć raz je układał. W elementach są twarze kobiece i męskie, więc przekaz, że to film o poszukiwaniu drugiej połowy, też był jasny – dodaje.

Pamiętną reklamę telewizyjną „Lejdis”, w której ludzie dzielili się wrażeniami z filmu, Saramonowicz wymyślił zainspirowany fenomenem spotów... margaryny. – Zawsze mnie fascynowało, że w tych reklamach kobiety mówią, jak ona pachnie, jak świetnie się rozsmarowuje. Nie tyle charakteryzują produkt, ile wzbudzają tęsknotę za przeżyciem czegoś podobnego. Pomyślałem: zrobimy tak z filmem. „Lejdis” miało wiele wątków, w 30 sekundach spotu nie mogliśmy nic o tym opowiedzieć, mogliśmy za to przekazać widzowi tęsknotę za jego obejrzeniem wynikającą z jakże ludzkiej zazdrości, że skoro ktoś inny przeżył coś przyjemnego, w tym przypadku miał się na filmie, to ja też muszę tego natychmiast doświadczyć – wyjaśnia.

„Idealny facet...” kupił Polaków na billboard. Naga Magdalena Boczarska pojawiła się na nim w towarzystwie zarówno kobiety (Izy Kuni), jak i mężczyzny (Marcina Dorocińskiego), co jeszcze bardziej podgrzało atmosferę.

Wie, jak zjeść sobie przyjaciół...

Dlaczego Saramonowicz nie wykorzystał zdobytego w poprzednich produkcjach know-how przy „Jak się pozbyć cellulitu”? – Umowa, która zawarłem z Warner Bros., dała mi całkowitą swobodę twórczą w pracy nad scenariuszem i na planie, ale pozostawia w wyłącznej gestii Warner sprawy dystrybucji, sprzedaży i reklamy – wyjaśnia Saramonowicz.

Przygotowany przez Warner – swoją drogą świetny – graficzny plakat filmu bodaj jako pierwszy od wybuchu boomu na komedie romantyczne nie epatuje uśmiechniętymi twarzami i roznieglizowanymi ciałami celebrytów. Tejsubtelności „uśredniony” polski widz nie kupił. Saramonowicz nie chce jednak oceniać strategii Warner. Tak nakazuje lojalność wobec wspólnika – jego kolejna cecha.

Ekipa Saramonowicza – pomijając Tomasza Koneckiego – od początku jego kariery w świecie filmu prawie się nie zmieniła. Pracują z nim ten sam operator, montażysta, dźwiękowiec, ci sami aktorzy, którzy pomagali mu 10 lat temu, gdy jeszcze jako dziennikarz filmowy kręcił fabularne scenki do programu o kinie „Pół serio”, czyli między innymi Olśzówka, Rutkowski, Więckiewicz, Królikowski i Kosiński. Dołączyło do nich tylko kilkanaście nowych twarzy, talentów, którym występy

w „Ciele”, „Testosteronie” i „Lejdis” otworzyły drzwi do wielkiej kariery. Gdy Tomasz Karolak dostał rolę w „Ciele”, miał 32 lata i filmografię składającą się z jednej pozycji – epizodu w „Dużym zwierzęciu” Jerzego Stuhra. Dziś ma prywatny Teatr Imka, a tylko w minionym roku zagrał w sześciu fabułach.

Podobnie układają się zawodowe drogi Izy Kuni, Dominiki Kluźniak i Marcina Perchucia – piekielnie zdolnych aktorów, o których przed produkcjami duetu Saramonowicz-Konecki prawie nikt nie słyszał.

...i zrazić do siebie ludzi

Andrzej Saramonowicz słynie jednak nie tylko z nosa do łowienia talentów i talentu do łowienia widzów, ale też z tupetu. – Sprawia wrażenie buca – przyznaje Iza Kuna. – Choć absolutnie nim nie jest. To bardzo inteligentny i utalentowany człowiek. Niekiedy bezkompromisowy, ale moim zdaniem ma do takiej postawy pełne prawo, bo w swojej dziedzinie dokonał kilku naprawdę wyjątkowych i odważnych rzeczy.

Krzysztof Globisz: – Ma taką cechę, którą można odebrać zarówno jako pozytywną, jak i negatywną – olbrzymią ambicję. Może ona być dla człowieka bardzo stymulująca, pchać go do przodu, ale równocześnie zrazić tych, którzy myślą inaczej. To nie jest przesadna pewność siebie, raczej chęć dominacji.

Rafał Rutkowski: – Zawodowo może być trudnym zarówno przeciwnikiem, jak i partnerem. Gdy wystawialiśmy w Teatrze Montownia jego „Testosteron”, ścieraliśmy się w trakcie prób nawet o wykreślenie jednej linii. Ten upór to cecha samca alfa, kogoś, kto jest przywódcą stada. Dla stada może być to oczywiście kłopotliwe.

Dominika Kluźniak: – W pracy chce zrobić wszystko na perełkę. Wymaga od ekipy, ale też od siebie. Pod koniec dnia zdjęciowego wokół jego reżyserskiego stanowiska piętrzyły się puszki po napojach energetycznych.

Jednak na opinię egocentryka Saramonowicz zapracował sobie trudnym charakterem i w kontaktach z ekipą, lecz w relacjach z mediami. Nie organizuje pokazów prasowych, nie wpuszcza dziennikarzy na premiery, ostro reaguje na negatywne opinie. – Nieorganizowanie pokazów uważam za święte prawo filmowca, który nie finansuje swoich produkcji z pieniędzy publicznych. Gdybym brał pieniądze z PISF lub TVP, czułbym się zobowiązany, bo opinia publiczna ma prawo wiedzieć, na co idą publiczne fundusze – tłumaczy. – A co do wszystkich buńczucznych wypowiedzi, których czasami udzielam, nigdy nie

chodzi w nich o pompowanie ego. Zawsze jest to albo żart, albo chłodna strategia mająca za zadanie zwrócić uwagę na film, który chce wypromować. Osobiście nienawidzę być w centrum publicznej uwagi. Za długo pracowałem w mediach, by nie wiedzieć, jakim głównym jest popularność – mówi.

Jednak już po chwili porównuje siebie, pioniera wprowadzającego w polskim kinie nowatorski system produkcji, do... Mieszka I. W końcu też pioniera, króla, który wprowadził w Polsce chrześcijaństwo. I jasne staje się, skąd biorą się mity o jego megalomanii i bucie.

Gdzie leży prawda?

„Jak się pozbyć cellulitu” to inna jakość niż „Och, Karol 2” czy „Weekend”. Inna też niż poprzednie filmy Saramonowicza. Mniej tu walentynkowych damsko-męskich klimatów, więcej oryginalnej zabawy w kino i kinem. Wygląda, jakby ten film kosztował dużo więcej niż „Lejdis” czy „Idealny facet...”. Tymczasem, jak mówi reżyser, jego budżet – pięć milionów złotych – był mniejszy niż w przypadku obu tych filmów. – Wszyscy mówią, że Warner sypnął kasą, więc ją wreszcie widać – śmieje się Saramonowicz. – Myśmy po prostu kręcili według zachodniego modelu produkcji. I to była dla mnie największa szkoła, jaką wyniosłem ze współpracy z WB: jak efektywniej zorganizować plan? Jak zrobić więcej za mniej pieniędzy? To jest przecież coś, co w polskim kinie najbardziej szwankuje.

Umowa, którą podpisał z Warner Bros., zakłada, że nakręcą razem co najmniej dwa filmy w ciągu dwóch lat. Gdy rozmawialiśmy z reżyserem kilka dni po premierze „Jak się pozbyć cellulitu”, wciąż był przed spotkaniem z Warner Bros., nie chciał spekulować, jak na jego współpracę z firmą wpłyną wyniki komedii.

Rutkowski: – Andrzej jest człowiekiem, który z uporem dąży do celu, nie odpuszcza.

Globisz: – Ma inteligentnie poczuć humoru. W scenariuszach, które od niego dostałem [„Lejdis” i „Idealny facet...” – przyp. red.], było je widać. Tyle że niekiedy przepadało w realizacji. Na planie panuje zwyczaj dociskania. Efekt goni efekt, aż sam się znosi. Ale nie mam wątpliwości, że jest niezwykle skuteczny.

Rutkowski: – W tandemie Konecki-Saramonowicz lodołamaczem był Andrzej.

Na korzyść Saramonowicza przemawiają także okoliczności łagodzące. Jego film w premierowy weekend przegrał w końcu tylko z nominowanym do Oscara w 12 kategoriach dziełem Toma Hoopera. Czy można się dziwić, że Polacy bardziej niż „Jak się pozbyć cellulitu”, chcieli dowiedzieć się, „Jak zostać królem”? ●

Polański tak Uklański – nie!



Z CHRISTIANEM
BOLTANSKIM
ROZMAWIA
JACEK TOMCZUK

CHRISTIAN BOLTANSKI, gwiazda światowej sztuki o tym, co polskie dzieci będą robić w Wenecji, dlaczego nie chce umrzeć na Tasmanii i swoim projekcie „Archiwum serc”, który właśnie pokazuje w Warszawie

Podobno artyście nic tak dobrze nie robi jak trauma. Zgadza się?

– Jak najbardziej. W moim przypadku traumą jest data urodzenia: wrzesień 1944 roku. Czuję się więc jak rozbitek, ocalenie z tej wielkiej katastrofy – II wojny światowej i Holocaustu. Tata pochodził z rodziny odesskich Żydów, mama była katoliczką z Korsyki. Nie wiem, dlaczego nie zrobili aborcji – gdyby byli rozsądni, powinni byli się na to zdecydować. Kołysanką mego dzieciństwa były opowieści o Shoa. Prędko zacząłem zadawać sobie pytania na temat dobra i zła. Jak ktoś może żyć w zgodzie z sąsiadem, a potem go zabić? Dlaczego to właśnie ja przeżyłem, a nie ktoś inny, czy to przypadek, czy przeznaczenie? Te pytania stawiają sobie wszyscy, którzy ocalili z obozów śmierci, żyją z nimi do końca życia. Te wszystkie tematy podejmuję w swojej sztuce, ale nie wprost – one siedzą gdzieś w pracach.

Większość krytyków wypycha pana dzieła do szufladki z napisem „sztuka Holocaustu”.

– Dostyć dużo wystawiam w Japonii, a oni tam prawie nic nie słyszeli o Holocaustu. Pokazuję na przykład w galerii podłogę wyścieloną ubraniami – w Europie od razu byłoby, że to Żydzi, obóz, Zagłada. A oni o tym, że zinteretowałem motyw rzeki umarłych z tradycji zen. I mówią: ależ pana sztuka jest japońska, pan nawet jest podobny do Japończyka, pan ma na pewno jakiegoś dziadka Japończyka. Wszelkie szufladki i etykiety są głupie.

Zaczynał pan wystawiać we Francji na przełomie lat 60. i 70. Wtedy mówiło się w ogóle o Holocaustu?

– Pamięć o nim była ukryta, wyparta. Francuzi w 80 procentach popierali rząd Vichy, byli kolaborantami, a mimo to wszyscy uważali się za partyzantów. Nie znali swojej historii, zakłamywali ją. Dlatego zawsze czułem się bliższy

Niemcom. Oni zrobili dużo złego, ale przynajmniej znali swoją historię. Jeżeli w moim poleniu było tylu wielkich niemieckich artystów, jak choćby Rainer Werner Fassbinder, to nie dlatego, że oni mieli problem ojców, którzy zamienili rolę przykładowych głów rodziny na wyznawców Hitlera. A nie ma nic bardziej kreatywnego dla artysty niż zły ojciec.

Pierwszą wystawę miał pan w 1968 roku. To prawda, że prawie nikt nie zwrócił uwagi na wernisaż nieznanego artysty, a przyszli krytycy, którzy pomylili nazwisko Boltanski z Polańskim, licząc, że to polski reżyser coś wystawił?

– To był maj, pierwszy dzień zamieszek, prężnie jaciele od rana dzwonili i mówili, że jutro nie przyjdą, że wybierają demonstrację. Mówiłem: nie ma mowy, dziś jest wernisaż, wolicie zacząć jutro. W tamtym czasie Roman Polański nie był jeszcze gwiazdą, kręcił „Wstręt”, „Matnię”, był przed „Dziękuję Rosemary”. Może rzeczywiście ktoś się pomylił, bo ja też kręciłem filmy, ale zupełnie inne. Jako młodzi artyści potępialiśmy wszystko – w tym samym stopniu tradycję w galerii co zanieczyszczenie środowiska wojnę w Wietnamie. W praktyce oznaczyliśmy to zrobienie wystawy, ale za wszelką cenę nie w galerii. Wydawaliśmy książki artystyczne, lepiliśmy kulki z błota, licząc, że uda się zrobić jedną idealną, zresztą bezskuteczną. W ramach akcji artystycznej zacząłem walczyć z przypadkowym ludzikiem kawałek brzośki tekturny ze słowem „choroba”. To nie było przyjemne wstać rano, zajrzeć do skrzynki i dostać taką wiadomość jeszcze przed śniadaniem. Albo napisałem i wysłałem do 30 osób. Przedstawiałem się jako chory człowiek, który chce popełnić samobójstwo i prosi o pomoc. Dostałem sześć odpowiedzi od nieznanymi ludzi. To dużo.



BEREŻNICKI

„*Jak w Europie czy Ameryce wysypuję galerię ubraniami, to wszyscy mają jedno skojarzenie: Żydzi, obozy... To już męczące. Dlatego lubię wystawiać w Japonii. Tam nikt nie słyszał o Holocaustu, a o mojej sztuce mówią, że jest bardzo zen*

CHRISTIAN BOLTANSKI



Zawód reporter

To prawda, że zdjęcia na World Press Photo w tym roku wyglądają jak zeszłoroczne. Różnica polega na tym, że robił je ktoś inny i na innych zasadach. Zaczyna się wielka rewolucja w fotografii

KUBA DĄBROWSKI

Jak co roku z niecierpliwością czekaliśmy na te fotoreporterskie Oscary i jak co roku jesteśmy werdyktem amsterdamskiego jury trochę zaskoczeni i zawiędzeni. Jak co roku nagradzane są zatrzymane w kadrach przemoc, wojna, choroby i kataklizmy. Jak co roku wywołuje to kontrowersje i budzi fascynację. Jak co roku nie do końca jest to prawda, bo przecież nagradzane są też zdjęcia o pozytywnej wymowie. Jak co roku wszystko widzieliśmy już wcześniej. Jak co roku kibicujemy Polakom, przyzwyczajeniśmy się nawet, że stosunkowo regularnie zdobywają nagrody. Wszystko jak co roku. Czy ten konkurs w ogóle się zmienia? Z wierzchu nie bardzo, ale w środku od zmian aż kipi.

Większość czytelników, wyobrażając sobie laureata WPP i jego codzienną pracę, maluje w wyobraźni obraz współczesnego Indiany Jonesa: samotnego, ewentualnie działającego w tandemie z piszącym dziennikarzem, podróżującego od przygody do przygody straceńca. W nieustannych rozjazdach →



for. Tomasz Gudrowaty, Yours Gallery/Fotoagentur Focus

Duch sportu nie opuszcza Tomasza Gudrowatego. Dwa lata temu zdobył trzecią nagrodę na WPP za zdjęcia wyścigów konnych w Mongolii. **Teraz sfotografował wyścigi samochodowe w Meksyku** i zgarnął 2. miejsce w kategorii Reportaż sportowy. Co następnym razem?

→ - od frontu do frontu, od kataklizmu do kataklizmu. On i jego wierny druh aparat, obdrapana leica albo nikon F3. Na ramieniu wojskowy worek z niezbędnymi rzeczami. To bardzo romantyczna wizja, pewnie kilka, kilkanaście lat temu nie rozmijała się zbyt z rzeczywistością. Takich ludzi jest jednak coraz mniej i na WPP dostają oni coraz mniej nagród. Kto zajmuje ich miejsce? Kim jest dzisiejszy fotoreporter?

Egzotyczne nazwiska

Po pierwsze, zawodowa fotografia - jak prawie wszystko na świecie - zglobalizowała się i „bogata Północ” nie fotografuje „biednego Południa”. Do niedawna fotografowie z USA i Europy mieli w zasadzie monopol na „profesjonalne” opowiadanie o wydarzeniach. Słyszeli o czymś, pakowali aparaty, wsiadali do samolotu i przygotowywali relacje. Oczywiście zanim pojawili się na miejscu, zdjęcia robili lokalni reporterzy. Czasami ich kadry miały w sobie moc wstrząsającej relacji z pierwszej ręki, ale w większości przypadków główną zaletą takich zdjęć było przede wszystkim to, że w ogóle były.

W dobie Internetu i fotografii cyfrowej poziom zawodowców bardzo się wyrównał, przepaść między fotografami lokalnych gazet a światowymi gwiazdami jest coraz mniejsza. Najbardziej spektakularnym przykładem jest przypadek mieszkającego w Port-au-Prince na Haiti Daniela Morela (I nagroda Spot News - reportaż, II nagroda Spot News - zdjęcia pojedyncze), który uchwycił miasto kilka minut po tragicznym trzęsieniu ziemi i zrobił to lepiej niż dobrze. Kilkusetosobowy korpus medialny pojawił się na miejscu dopiero parę dni później. - Jestem w środku tej historii, a inni tylko ją obserwują. W tym jest moja siła. Nie staram się robić z tego sztuki. Moim zadaniem jest po prostu pokazanie, jak jest, kompozycyjna zabawa byłaby nie na miejscu - mówił Morel w wywiadzie dla „New York Timesa”, jednocześnie diagnozując szersze zjawisko. Coraz bardziej bowiem liczy się spojrzenie insidera, a insider jest coraz lepszym fotografem. Na listach nagrodzonych pojawia się i będzie się pojawiać coraz więcej egzotycznych nazwisk fotografów, którzy udając się na temat, nie muszą pakować wojskowego worka i wsiadać do samolotu. Wystarczy, że wyjdą z domu.

Bardziej niż zawodowcy

Na drugim biegunie mieszczą się „więcej niż zawodowcy”. Fotografowie, którzy fotografię dokumentalną traktują nie jak pracę, ale →



Peter Lakatos 22 maja 2010 roku był na Moście Wolności w Budapeszcie. 50-letni mężczyzna wszedł na wieżę, oblał się łatwopalną cieczą, podpalił i skoczył, popełniając samobójstwo

Dzisiaj niektórzy fotografowie zafascynowani mitem reportera działają w oderwaniu od rynku wydawniczego. Po prostu dostarczają światu pięknych wizualnych opowieści. Nie interesuje ich „sprzedawalność” tematu, redakcyjne terminy

FOT: Peter Lakatos/MTI/WPP



Mężczyzna 15 stycznia 2010 roku **oczyszcza kostnicę w Port-au-Prince**. Olivier Laban-Mattei za reportaż z Haiti zdobył 1. miejsce w kategorii Wydarzenia

→ rodzaj sztuki. Ludzie, którzy zafascynowani mitem reportera działają w oderwaniu od rynku wydawniczego. Po prostu dostarczają światu pięknych wizualnych opowieści. Nie interesują ich „sprzedawalność” tematu ani redakcyjne terminy. Robią to, bo chcą, mogą i lubią. W tej kategorii wylądowałby Tomasz Gudzowaty. Jego opowieść o zawodach samochodowych w Meksyku (II nagroda w kategorii Sport – fotoreportaż) leży poza budżetowym zasięgiem większości gazet na świecie.

Fotograf pracuje dającym niesamowitą plastykę obrazu aparatem wielkoformatowym, dla uzyskania lepszych kadrów wynajmuje helikoptery, pomaga mu grupa asystentów. Działa bardziej jak reżyser filmowy niż spotykający się oko w oko z ludźmi, przemierzający świat w poszukiwaniu przygód reporter.

Sensem tych zdjęć nie jest informowanie ludzi, lecz estetyzacja życia codziennego. Miejscem, w którym się spełniają, nie są lamy

magazynów, agencje prasowe, tylko konkursy w rodzaju WPP i ściany galerii.

Trzecia, coraz liczniejsza grupa zwycięzców World Press Photo to „półzawodowcy”, dzieci dzisiejszej epoki tanich lotów, grupowego przemieszczania się i cyfrowych aparatów. Kiedyś samo dotarcie do interesującego i egzotycznego zakątka świata graniczyło z cudem. W zapalnych rejonach spotykała się zamknięta i w miarę stała grupa ludzi. Reporterzy znali się, przyjaźnili, nocowali w tych samych hotelach. Stanowili bractwo, tworzyli mit.

Dzisiaj w ciekawe miejsca za zarobione w wakacje pieniądze docierają marzący o przeżyciu tego mitu studenci fotografii. Z aparatami podróżują pracownicy organizacji pozarządowych, biznesmeni i wolontariusze. Nie są zawodowcami, ale potrafią robić wyśmienite zdjęcia. Przykłady: nagrodzony w kategorii Natura Thomas P. Peschak, z zawodu biolog morski, czy Amit Madheshiya,



Spośród 10 8059 zdjęć jury konkursu World Press Photo najlepszym zdjęciem 2010 roku wybrało fotografię Jodi Bieber

W dobie Internetu i fotografii cyfrowej poziom zawodowców wyrównał się, przepaść między reporterami lokalnych gazet a światowymi gwiazdami jest coraz mniejsza



Mogadiszu, stolica Somalii. **Chłopiec właśnie zdobył rekina**. 1. miejsce w kategorii Życie codzienne (zdjęcie pojedyncze) dla Omara Feisala



który sfotografował widownię w indyjskim kinie. Takich osób jest coraz więcej.

Czwarta grupa to zawodowi fotoreporterzy. Ludzie, których pracą jest opowiadanie historii i wydarzeń, którzy żyją z tego i odprowadzają od tego podatek. Ci z leicą i workiem na ramieniu. Liczba miejsc dostępnych tylko dla nich z dnia na dzień się kurczy, wielu z nich czuje, że traci grunt pod nogami. Co mogą zrobić? Na przykład to, co nagrodzony w kategorii Ludzie w wydarzeniach za zdjęcia naszej żałoby narodowej Filip Ćwik. Wiedząc, że wydarzenie i tak będzie obfotografowane tysiącami aparatów, mogą sobie pozwolić na „staniecie bokiem do rzeczywistości” i opowiedzenie historii po swojemu. Trochę tak jak XIX-wieczni malarze, którzy po wynalezieniu fotografii mogli dać sobie spokój z tworzeniem realistycznych portretów. Może to oni zainicjują fotoreportaż w jakiejś nieznanej nam jeszcze dzisiaj formie? ●

Martin Roemers, 1. nagroda w kategorii Życie codzienne (reportaż) za cykl „Metropole”, tutaj Kalkuta

FILM

Zezowate szczęście

„Kolejny rok” i kolejny wielki film Mike’a Leigh

KAROLINA PASTERNAK



Ruth Sheen i Jim Broadbent, czyli „Jak to przy kuchence ładnie”. Do czasu!

Najlepszym dowodem na magiczną siłę oddziaływania tego filmu było jego przyjęcie podczas ubiegłorocznego Cannes. Choć od początku wydawał się zbyt skromny, by wygrać, nie miał w rękawie asów w postaci gorących nazwisk w obsadzie ani tak lubianej na europejskich festiwalach dalekowschodniej egzotyki, to do ostatnich minut przed ogłoszeniem werdyktu uznawany był przez krytyków za pewniaka do Złotej Palmy. Ta ostatecznie powędrowała do azjatycko-europejskiej koprodukcji „Wujka Boonmee”, Leigh zaś wyjechał z Cannes bez żadnych nagród.

W „Kolejnym roku” na pozór nie dzieje się nic ponad to, co obserwujemy na co dzień w życiu, mimo to z każdą minutą seansu emocje rosną, a śmiech (Leigh jak zawsze charakteryzuje swoich bohaterów bardzo dowcipnie) niespodziewanie zostaje zaprawiony goryczą. Piękny z wierzchu świat pęka, gdy odkrywamy, co kryje się pod fasadą. Ekranowa para Tom (Jim Broadbent) i Gerri (Ruth Sheen) to małżeństwo w średnim wieku. Mieszkają na przedmieściach Londynu w domu z wielką, jasną kuchnią, w której Gerri podaje mężowi obiady przyrządzone z uprawianych na działce warzyw. Kropką nad „i” ich udanego życia jest dorosły syn, który niebawem poślubi uro-

czą Katie. Szczęście tej pary (słynny nak najpełniejszym blaskiem podczas rytualnych wizyt znajomych Kena (Peter Wight) i Mary (Lesley Manville). Oboje nie mają partnerów ani dzieci, więc ciągną do przytulnego salonu Toma i Gerri, aby ogrzać się w ciepłe domowego ogniska. To jednak powolutku ziębnie, gdy Mary, dotychczas pocieszna neurotyczna singielka, zaczyna dawać upust swoim frustracjom. Gdy naprawdę potrzebuje wsparcia przyjaciół, cennisko zmienia się w lodowisko.

Leigh nie bez kozery podzielił swój film na cztery części odpowiadające porom roku. Nie bez kozery też po grzeb odbywa się w „Kolejnym roku” zima, a wieść o ciąży spada na bohaterów wiosną. To idealnie skomponowane dzieło pulsuje przeciętnym rytmem życia. Leigh nie szuka rapidalnego ani tym bardziej mistycznego uzasadnienia tego, dlaczego jego mają gorzej, a drudzy lepiej. Dlatego nawet uroczy ludzie lubią kamie swoje szczęście cudzym smutkiem. Podstawia jedynie lustro, w którym nieuchronnie będziecie musieli się przejrzeć.

„Kolejny rok”, reż. Mike Leigh
Wielka Brytania 2010, 129', SPiKa
premiera 18 lutego

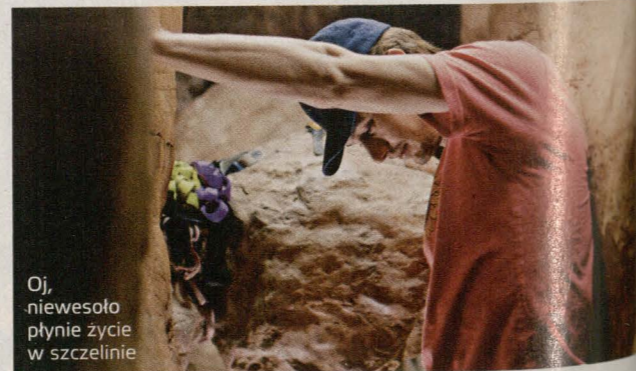
Pocztówka znad krawędzi

Danny Boyle znów dowodzi swej biegłości w graniu na najprostszycjch emocjach

Niby wszystko już było: bohater odcięty od świata, postawiony w sytuacji ekstremalnej, z mnóstwem czasu na rozmyślanie o życiu i perspektywie śmierci. Boyle, opowiadając historię Arona Ralstona opisaną przez niego w książce „Between a Rock and a Hard Place”, niby też nie odkrywa niczego nowego. A jednak historia wspinacza amatora, który podczas samotnej wycieczki do kanionu Blue John wpada w skalną szczelinę i zostaje w niej uwięziony z ręką przygniecioną ciężkim głazem, w wydaniu Boyle’a zaskakuje oryginalnością. Pomysł polega na zderzeniu surowej, niemal dokumentalnej obserwacji szamoczącego się w pułapce bohatera z próbą zanurzenia się w umyśle człowieka, któremu całe ży-

cie staje przed oczami na podobieństwo filmu.

Boyle zatrudnił dwóch operatorów: Anthony’ego Dod Mantle’a i Enrique Chediaka. Pierwszy czaruje zdjęciami pustynnego krajobrazu, wciśniętą się z kamerą w najciaśniejszy kąt i po prostu patrzy. Drugi migotliwe ujęcia montuje w mozaikę wspomnień, halucynacji i snów. Czasem, niestety, przekombinowanych, lecz jednocześnie rozbijających monotonię uwięzienia w skalnej szczelinie. Sytuacja ma posmak absurdu, ale i wymiar prawdziwej tragedii. Nagle najdrobniejszy gest, ruch słońca, cień przelatującego kruką nabierają rangi wydarzenia. Tym bardziej szokuje kulminacyjna scena, w której Aron (nominowany do Oscara James Franco)



Oj, niewesoło płynie życie w szczelinie

uwalnia się, dokonując samookaleczenia.

I nawet odwrócenie oczu od ekranu nie pomaga, bo już odgłosy docierające do naszych uszu przywołują makabryczne obrazy. Okazuje się, że odwołując się do najprostszycjch freudowskiej zasady projekcji i identyfikacji, wciąż można w kinie osiągnąć niesamowity

efekt. Zwłaszcza gdy potrafi się całą konsekwentnie doprowadzić do przynoszącego ulgę finału.

„127 godzin”, reż. Danny Boyle
USA/Wielka Brytania 2010, 94'
Imperial Cinepix, premiera 18 lutego

RECENZJE MUZYKA

PJ zbawia ojczyznę

Anglia może i zadrży po wysłuchaniu najnowszej płyty Polly Jean Harvey. Ja się tylko wzdrygam

ANGELIKA KUCIŃSKA

Przeważa przeszłość i niejasna przyszłość bękartów bez narodowej tożsamości. Strach i sentymenty. Na „Let England Shake”, osmej płycie PJ Harvey, trup ściele się gęsto, ale masową ofiarą nie są tu anonimowi bohaterowie z pomników, lecz fani autorki albumu. Bo nie ma tu ani niewygodnego ekslibionizmu napędzanych garażową gitarą pierwszych krązków Brytyjki, ani fortepianowych lamentów zjawiskowego „White Chalk” (trzy lata temu „Przekrojowa” płyta roku).

Tym razem PJ Harvey mierzy się ze śmiercią. Z wojną. Z porzucenymi ideałami. Mitologizując przeszłych herosów, jednocześnie pyta, czy stać nas jeszcze na szczerze patriotyczne gesty. Taka treść wymaga mocnych środków. Harvey wróciła więc do głośnych gitar, ale w ramach urozmaicenia przelała je tu i ówdzie ułańsko wystylizowanym dęciakiem. Brakuje tylko Meja Gibsona krzyczącego: „Wolność!”.

PJ Harvey postanowiła nagrać płytę o rodzinnej Anglii, dawnej i współczesnej – szanując potrzebę takiego rozliczenia. Jednak tyle subtelności w tych kronikach, ile w Madonnie hrebianki. To, co słuszne z założenia, w efekcie okazało się jedynie tanią, koniunkturalnym zabiegiem. Bo piosenki pisane litanią



Choć raz byliśmy pierwsi: Polly Jean idzie w ślady Lao Che

faktów z podręczników szkolnych nasuwają równie banalny tańcuszek interpretacji: Afganistan, Irak i kryzys moralny. Od artystów tej miary mamy prawo i obowiązek wymagać większej wyobraźni.

PJ Harvey nigdy nie wiedziała, jak wyznaczać granice dobrego smaku, ale to, co na osobistych płytach było tylko egzaltacją, tu zamienia się w mesjanizm. Czym „Let

England Shake” różni się od chociażby nieznosnie pretensjonalnego „Powstania warszawskiego” Lao Che? Niczym. Tylko patrzeć, jak zaczyna ją zapraszać na polityczne wiece i rocznicowe pogadanki.



PJ Harvey „Let England Shake”, Island/Universal

Koniec trasy

Spieszmy się lubić Mike’a Skinnera, bo to już koniec The Streets

Mike Skinner od dobrych paru lat powtarza, że czas związać manatki i zająć się czymś innym niż robienie muzyki. Szczególnie że od jakiegoś czasu jego kariera przypominała tonący okręt. Odkąd – zamiast z dystansem i ironią przyglądać się wyspiarskiej rzeczywistości – dał się wciągnąć na salony, a następnie sparzony nagłą sławą założył maskę taniego filozofa, artystycznie wyraźnie dołował i coraz mniej miał do powiedzenia. Nic dziwnego, że ci, którzy niegdyś nosili go na rękach, zaczęli odwracać się do niego plecami. I gdyby nie upór wydawcy, ten jednoosobowy projekt rzeczywiście przeszedłby do historii już trzy lata temu. Na szczęście najpopularniejszy brytyjski raper wypełnił warunki kontraktu i po „Everything Is Borrowed” z 2008 roku nagrał jeszcze jeden album.

Jasne, Skinner sam jest sobie winien, ale na pożegnanie należą mu się brawa. Choć mógł to zrobić, nie zlekceważył fanów i nie dał im na odczepne przypadkowych odrzutów z sesji. Ze niektóre piosenki mają już trzy lata? Nie szkodzi, skoro The Streets w takiej formie nie słyszeliśmy od przełomowego „A Grand Don’t Come for Free”. Chwytiliwe refreony, celne obserwacje, humor i błyskotliwe taneczne podkady – tu znów jest wszystko, za co kiedyś Skinnera pokochaliśmy. Widzisz, Mike? Znów cię lubimy. Może jednak zostaniesz?
BARTEK WINCZEWSKI



The Streets „Computers and Blues”, 679

W kapciach na kanapie

Destroyer – wbrew nazwie – błogi chillout niesie

Nie trzeba znać poprzednich ośmiu płyt kanadyjskiej grupy Destroyer, aby zachwycić się dziewiątą. Nie trzeba wiedzieć o ambicjach jej lidera, by dostrzec, że na „Kaputt” Dan Bejar składa broń. Wprawdzie śpiewa o uganianiu się za dziewczętami, kokainą i wielkim światem, ale robi to w utworze zatytułowanym, no właśnie, „Kaputt”. Bejar odpuszcza dosłownie: wokale rejestrował na kanapie w pozycji leżącej, a brzmienie albumu przywodzi na myśl wysmakowany rock przełomu lat 70. i 80., choć

sam artysta przyznaje się raczej do ulegania wdziękowi Sade. Zbytek pogłosów i powściągliwość aranżacyjna wypuklają to, co zginęłoby w gęstszym miksie: leniwa wdrórkę bezprogowego basu, pojedyncze nuty saksofonu i trąbki oraz nieśmiałą obecność Sibel Thrasher wspierającej wokalnie Bejara w jego błogim chilloucie.
MARIUSZ HERMA



Destroyer „Kaputt”, Merge



Dan Bejar relaksuje się w pseudoklasykistycznych okolicznościach przyrody

Wirpsza wychowawca...

...czyli obrazki ze sławnej wystawy

AGATA PYZIK

Witold Wirpsza, urodzony w Odessie w 1918 roku, zmarł w Berlinie w 1985 roku po 15 latach na emigracji. Od kilku lat Instytut Mikołowski po cichu, poza wydawniczym mainstreamem podejmuje wysiłki, by przywrócić jego dzieła do obiegu. Dziś już wyraźnie widać, jaka jest tego przyczyna – mało kto w XX wieku wykazał się podobną rozpiętością zainteresowań, rozmachem poetyckim, różnorodnością języka. Zaczynał od socrealizmu, by skończyć na dziełach rozmawiających z Platonem, Empedoklesem, Biblią, Mickiewiczem.

Teraz Instytut wznosił „Komentarze do fotografii. The Family of Man”, cykl poetycki z 1962 roku. Był on reakcją na niezwykle wówczas popularną, podróżującą po całym świecie wystawę fotografii zebranych przez Edwarda Steichena ze zbiorów nowojorskiego Museum of Modern Art. Wystawa – zorganizowana przez UNESCO w 1955 roku – w 1959 zawiązała również do Polski. Prezentowała „życie człowieka” na całym globie, starając się nie pomijać żadnego aspektu ludzkiej egzystencji. Wirpsza, bardzo wystawą poruszony, dostrzegł nagle, że podporządkowanie fotografii kryteriom technicznej doskonałości poskutkowało przekłamaniami „ideologicznymi”. Jak pisał w zreprodukowanym w obecnym

wydaniu maszynopisie (nieznanej wcześniej) przedmowy: zdjęcia tchną „świętobliwą dydaktyką”, człowiek na nich przedstawiany jest zawsze szlachetny i pełen godności, nawet w cierpieniu, jednak w ten sposób odbiera się ludzkości jej prawdę, zakłamuje się prawdę o ludzkim poniżeniu, śmieszności, o odręce. Niemą pretensją w tym głosie i następujących po nim wierszach jest chyba zakłamywanie prawdy o wciąż jeszcze świeżej wojnie.

To dawne dzieło Wirpszy poświęcone jest przede wszystkim tropieniu nieprawdy. Bywa okrutne, niekiedy zabawne, ale zawsze chce przedstawiania ludzkości bez upiększenia, dostrzegania także kaleki, wysiłku, biedy, cierpienia. Trzeba jednak zauważyć, że i Wirpsza wklepał się w dydaktyczny paradoks – kpi z wychowawczych zapędów autorów fotografii, ale sam także okazuje się wychowawcą. Tyle że z lepszej szkoły.



★★★★★
Witold Wirpsza
„Komentarze do fotografii. The Family of Man”, Instytut Mikołowski, Mikołów 2010, s. 60, 12 zł



Rodzina amerykańskich farmerów w obiektywie Niny Leen. „Dzieciom przykazano szczęście, więc udają, jak mogą” – komentuje Wirpsza

Murakami hamuje i fantazjuje

Druga część trylogii Japończyka skręca w niespodziewaną stronę

Po niezbyt obszernej (jak na swoje standardy) książce o tym, jak mu się biega i o czym mu się myśli przy bieganiu („O czym mówię, kiedy mówię o bieganiu”), Haruki Murakami rzucił się w ogromną, podzieloną na trzy tomy opowieść. Jej fabule związał z historią osławionej japońskiej sekty Najwyższa Prawda, lecz na pierwszym planie postawił dzieje tajemniczo związanych z sobą bohaterów: zabójczyni Aomame i pisarza Tengo. Po lekturze pierwszego tomu trylogii „1Q84” byłam pewna, że tym razem japoński pisarz będzie się trzymał konwencji sensacyjnej. Czyli z części na część zwiększy tem-

po oraz skomplikuje i tak już złożone relacje między postaciami. A tymczasem autor „1Q84” gwałtownie hamuje, niecznie pozbywa się niektórych bohaterów, na przykład policjantki Ayumi, choć jej przyjaźń z Aomame, zabójczynią na zlecenie, była naprawdę smaczkowym wątkiem. Uporządkowawszy w ten sposób teren, Murakami skręca w rejon fantastyki. Rzecz jasna, ten obszar nie jest mu obcy, zwrot nie powinien więc być zaskoczeniem. Jeśli jednak ktoś spodziewał się po cyklu spójności, to się zdziwi.

Nie spytam, czy pisarz wy kalkulował tę wolę, czy też zdarzył mu się wypadek przy pracy, bo oczywiście

chodzi o to pierwsze. Trzeba jednak nazywać się Murakami, by móc sobie zignorować zobowiązania wobec gatunku, wyczytniać, co się dzieje i mimo to od pierwszej do ostatniej strony trzymać czytelnika w niewoli. Tom trzeci i ostatni jeszcze w tym roku.



★★★★★
Haruki Murakami
„1Q84” t. 2, przeł. Anna Zielińska-Elliott, Muza, Warszawa 2011, s. 416, 49,99 zł

Hero & Heroina

Wybitna prapremiera w Szczecinie – Klemm reżyseruje Hebbła

ŁUKASZ DREWNIAK

Szczecińska „Judyta”, polska prapremiera tragedii Friedricha Hebbła, to dotąd najlepszy spektakl sezonu. Kolejne po zeszłorocznym „Amfitrionie” ze Starego Teatru przedstawienie Wojtka Klemma bez wybitnych na pierwszy plan lewicowych tez: człowiek jest tu obdarty do żywego mięsa i nie zastania się już żadną ideologią czy religią.

Na scenie błaszany barak, dmuchany basen, kółczyk piasku i wypolerowany napis „Hero”. Zapowiedź rozwiązania sensie bohaterstwa wśród bohaterów? Biblijna Judyta to żydowska heroina, która odcięła głowę Holofernesowi, asyryjskiemu wodzowi oblegającemu jej miasto. Marta Malikowska-Szymkiewicz gra współczesną dziewczynę, która sprawdza samą siebie w sytuacji ekstremalnej. Bada, czym jest odwaga kobiety w męskim świecie. Dlaczego rodzi się na styku śmiechu, pogardy i żądy? Może to za-

miana popędu seksualnego w pociągu ku samounicestwieniu? Albo pragnienie fizycznego zdobycia wroga, doznania martwego ciała mężczyzny?

Bohaterka Malikowskiej nie zaznała miłości, urodę traktuje instrumentalnie, uzależniając się od bliskości śmierci. Bo wie, że po tamtej stronie, za granicą lęku i odrzy, jest ktoś taki sam jak ona – odurzony narkotykiem zabijania Holofernes (Arkadiusz Buszko). Asyryjski wódz – jak i jego podwładni – nosi czarny mundur. Jest w nim magnetyczne okrucieństwo. Wytatuowana głowa i kłapki na bosych stopach burzą obraz wielkiego wojownika. Klemm chce, by bohaterowie Buszki i Malikowskiej przegladali się w sobie, by ich spotkanie było spotkaniem z sobotworem. Męska bohaterka, niemiecki bohater. Godni siebie przeciwnicy. To dlatego ich seks musi skończyć się zbrodnią. Holofernes wypycha pal-



Morderczyni Judyta (Marta Malikowska-Szymkiewicz) też już nie chce żyć

ce do ust Judyty, jakby chciał wyrwać jej z gardła wyznanie: „Jestem tobą!”. Judyta była szybsza, pierwsza zadawała cios, ale nie jemu, tylko sobie samej ukrytej w nim. A potem oblewa białe ściany wiadrami jego krwi i czuje, jakby sama krwawiła. W finale krzyczy do widzów: „Zabijcie mnie!”. Nie chodzi o to, że nosi dziecko Holofernesa. Ona wie, że do-

znała i widziała zbyt wiele. Zbrodnia to tylko bohaterstwo w krzywym zwierciadle. Heroina odwagi.

★★★★★

„Judyta” Friedricha Hebbła, przekład Jacek St. Buras, reżyseria Wojtek Klemm, scenografia Mascha Mazur, muzyka Dominik Strycharski, Teatr Współczesny w Szczecinie



Agnieszka Wątróbska (Aneta) i Maciej Zakościelny (Krzysztof) w serialowym duecie

Z materaca na ekran

„Amazonia”, czyli o życiu spapranych na starcie

Awet gdy Michał Walczak napisał słabszą sztukę, to i tak da się z niej zrobić sympatyczny teatr. „Amazonia” to trochę nostalgiczna, trochę śmieszna opowieść o czasach poststudenckich, kiedy prawie

wszystko robimy pierwszy raz: pierwszy raz idziemy do prawdziwej roboty, pierwszy raz rozwala nam się długoterminowy związek, pierwszy raz korumpuje nas system. Aneta (Agnieszka Wątróbska) i Mundek

(Paweł Domagała) to para młodych aktorów bez pracy. On pali za dużo zioła i jest uzależniony od gry w „Wiedźmina”, ona codziennie łązi na castingi. Ciągłe jeszcze biorą pieniądze od rodziców, są biedni, ale szczęśliwi. A potem Aneta dostaje rolę w serialu „Amazonia”, a Mundek wchodzi w offową produkcję teatralną. Ją podrywa aktor, pustak i plastik (Maciej Zakościelny), jego – głupiotka entuzjastka teatru (Patrycja Soliman). Serialowy reżyser fachura (Krzysztof Stelmach) dręczy Anetę, żeby „pokazała cyki” na planie, Mundkowi wodę z mózgu robi nawiedzony guru teatralny (Łukasz Lewandowski parodiujący Warlikowskiego i Passiniego). Ale to nie jest komedia środowiskowa! Bohaterowie mogliby być absolutnie prawda czy politologii, a i tak dostaliby od życia po tyłkach.

W „Amazonii” żarty z telewizji i teatru prowadzą do wniosku, że chałtura i twórczość ambitna to tylko różne oblicza tej samej ściemy. I tu, i tam zdarzają się prawdziwi pasjonaci oraz cyniczni gracze. Sztuka nie jest zero-jedynkowa. Życie też nie. Dlate-

go związek Anety i Mundka nie przetrwa. Nie da się kochać i jednocześnie żyć w światach równoległych. Dziwne, ale nie żal nam bohaterów, nie trzymamy kciuków, żeby im się udało. Walczak z Glińską pokazują po prostu, jak coś się kończy. I wielkim atutem sympatycznego przedstawienia z Teatru Na Woli jest to, że chcielibyśmy przeżyć wraz z bohaterami jeszcze raz taki „pierwszy koniec”. Mieć znowu pudło z książkami, materac na podłodze, niezapłacony czynsz i spaprane na starcie życie.

Ciesz się, że Walczak nie zamierza wyrastać z poststudenckich klimatów. Chyba wie, że kiedyś i tak zostanie nam tylko tęsknota za tamtymi czasami i wyborami. I nic więcej. A Glińskiej gratuluję obsady. Nie wiedziałem na przykład, że Zakościelny potrafi być aż tak autoironiczny.

ŁUKASZ DREWNIAK

★★★★★

„Amazonia” Michała Walczaka, reżyseria Agnieszka Glińska, scenografia Agnieszka Zawadowska, Teatr Na Woli w Warszawie

Czekam na ciebie, Isaacu

To nie pustka przeraża najbardziej wśród gwiazd. Horror „Dead Space 2” znów zaprasza do piekła inżyniera Clarke’a

Rok 2411, gdzieś w kosmosie. USG Ishimura, gigantyczny międzygwiazdny statek wydobywczy klasy łamacz planet, przestaje odpowiadać na sygnały. Inżynier Clarke wchodzi na pokład, by wyjaśnić tajemnicę. Zastaje zwłoki i nekromorfy – istoty, w które zmieniają się załoga znalezionej na pobliskiej planecie artefakt cywilizacji Obcych. „Dead Space” był wzorcowym survival horrorem. Znakomicie wykorzystywał duszną atmosferę wąskich korytarzy technicznych statku kosmicznego, groźbę ciemności rozpraszanych alarmowymi kogutami zasilania awaryjnego, upiorne skrzywienie stalowych wręg, syczenie pary, dziwne stukoty w kajućcie obok, odgłosy kroków za zakrętem, dezorientację w strefach zerowej grawitacji. „Dead Space 2” jest bezpośrednią kontynuacją kosmaru Isaaca Clarke’a i oferuje więcej tego samego. Zaczyna się na księżycu Saturna Tytanie, gdzie Clarke ocknie się po latach nieświadomości w kaftanie bezpieczeństwa. Jak na rasowy horror przystało, niebezpieczeństwo trafi i tam, gdzie jego piekło się zaczęło.

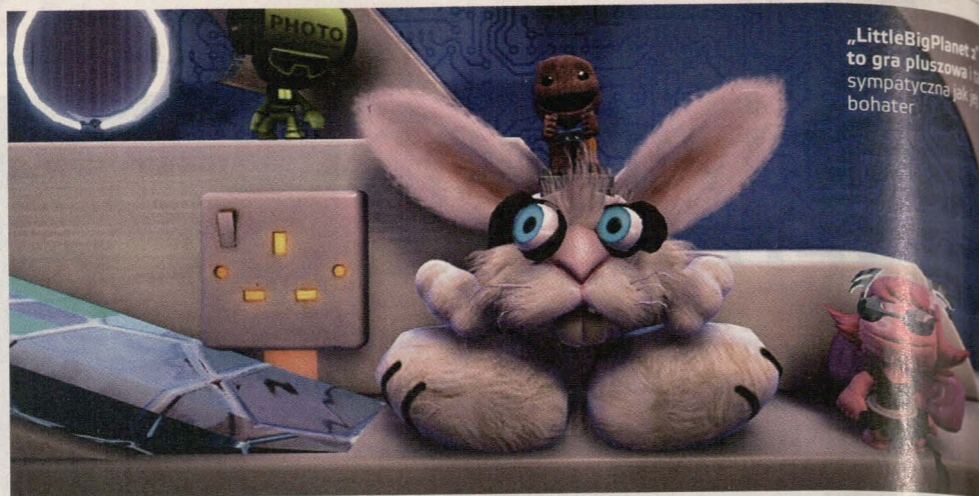
Dobre rzemiosło. Chwyty stare, ale fachowo użyte. Zgrabnie rozebrano motyw poczucia winy Clarke’a za śmierć narzeczonej na pokładzie Ishimury. Czy głos, który słyszy, jest objawem szaleństwa? A może umysł Nicole trwa po jej śmierci za sprawą mocy kosmicznego artefaktu? Weterani „Dead Space” biegli w angielskim – nie przetłumaczono nawet napisów – nie będą rozczarowani.

OLAF SZEWCZYK



★★★★

„Dead Space 2”, Visceral Games, Electronic Arts, PS3, X360, PC



„LittleBigPlanet 2” to gra pluszowa i sympatyczna jak jej bohater

Obywatel Szmactianka ratuje świat

Baw się z całą rodziną, wliczając wnuczeta i babcię, twórz własne gry. Prowadź swą zszytą z gałganków maskotkę ku zwycięstwu nad złym odkurzaczem

OLAF SZEWCZYK

Przez świat przetacza się jak walec wieść, że tylko w jednej sieciowej grze „World of Warcraft” spędziliśmy już łącznie, od premiery w 2004 roku, sześć milionów lat (!). Czy ktoś ma jeszcze wątpliwości, że przenosimy się w szybkim tempie do wirtualnych światów równoległych? Bywają gry i gry, wybieramy mądrze. „LittleBigPlanet 2” również ma szansę na imponującą żywotność, jednak z innych powodów niż „World of Warcraft”. To nie azyl dla eskapistów, przeciwnie – szansa na pobudzenie kreatywności i międzypokoleniową integrację, nawet jeśli na co dzień nas i nasze pociechy kuszą zupełnie inne atrakcje.

Nie było chyba lepszej gry wideo, przy której mogliby wspólnie spędzać czas rodzice i dzieci niż „LittleBigPlanet” (2009). W przeciwieństwie do wirtualnej piłki nożnej, częstej rozrywki ojców i synów, w „LBP” z przyjemnością mogą bawić się także mamy i córki. Co więcej, istotą tej gry nie jest rywalizacja – choć zdobywamy punkty i możemy porównać wyniki – ale współpraca. W niektóre miejsca skrywające różne niespodzianki (na przykład nowe okulary dla naszej maskotki) możemy dostać się tylko przy kooperacji kilku osób. To fantastycznie integruje pokolenia. Wiele razy przybijałem piątkę

z moją Kajką po wspólnym pokonaniu wyzwań, pomagałem też córce przejść trudniejsze etapy.

„LittleBigPlanet 2” powtarza formułę znakomitej poprzedniczki, ulepszając, co się da, i oferując jeszcze większą swobodę kreacji. To znowu gra platformowa: prowadzimy maskotkę z jednej strony ekranu na drugą przez wymyślne tory przeszkód, przeskakując nad przepaściami, wdrapując się w niedostępne miejsca, unikając lub pokonując wrogów – na przykład znarwione ciastka. Owe szczałkowe „walki” są przedstawione w tak pocieszny i odrealniony sposób, że nawet najbardziej lękliwy maluch nie będzie budził się po nich w nocy zapłakany – gwarantuję. „LittleBigPlanet 2” to gra pluszowa, bez kantów, można ją śmiało polecić każdemu. Jest łatwiejsza od poprzedniczki potrafiącej zakłopotać weterana poziomem wyzwań zręcznościowych.

O niezwykłym uroku tej zabawy zdecydował w dużej mierze gust scenografów i lalkarzy. Teatr zdarzeń to de facto cyfrowy fantom prawdziwych teatrzyków domowych, w których bohaterami były postacie uszyte ze szmatek, wycięte z kartonu szablony imitujące zamek, pomalowana farbami plakatowymi kartka falująca jak morze. Dodałbym tylko, że jest

teatrzyk prowadzony przez dość angielską guwernantkę o typowym spiarskim poczuciu humoru – ten kalny sznyt łatwo wyczuć, surrealistyczny dowcip niektórych scen najpełniej cenią dorośli.

Największym walorem „LBP 2” są jednak możliwości działań twórczych zapewniane użytkownikom. Na kolejnych torach przeszkód zdobywamy wzory tkanin, ubranka, naklejki, kolory i tak dalej, którymi możemy zdobić nie tylko swą szmactiankę, ale też świat, w którym żyje. Możemy również budować nowe plany, a nawet oddzielne gry zupełnie od zera, korzystając z przyjaznego nowicjuszom potężnego edytora światów. To jak wielka piaskownica lub kosz z klockami Lego. Możliwość tego narzędzia są fenomenalne. Tym, co stworzyliśmy, możemy udzielić się przez Internet, gdzie już czeka na nas perełka przygotowana przez innych obywateli „LittleBigPlanet 2”. Gra jest w pełni spolonizowana. Głosów postaciom użyli: Anna Dereszowska, Piotr Fronczewski, Krzysztof Kowalewski i Paweł Szczęsny.

★★★★★

„LittleBigPlanet 2”, Media Molecule, Sony Computer Entertainment, Polska, PS3

Fotoimporter

Dzisiaj trudno wyobrazić sobie Japończyka bez aparatu. Nie zawsze tak było. A wszystko zaczęło się od przedsiębiorczego Ueno Hikomy

KUBA DĄBROWSKI



655. ATAGO YAMA TOKYO

Foto: Ueno Hikoma, widok Tokio ze wzgórza Atago, ok. 1870, www.nipponluggano.ch

Rok 1857, Japonia. Kończy się ponad 200-letnia izolacja wyspy od zewnętrznego świata mająca zapobiec europeizacji cesarstwa. Japończycy pod karą śmierci nie mogli opuszczać kraju, to samo groziło obcokrajowcom za przyjazd.

Oknem na świat dla Japonii staje się port w Nagasaki. To tu przyplływają handlowe statki z Europy, Korei i Chin. Ponadto w mieście działa holenderska enklawa przemysłowa. W zamian za możliwość robienia interesów pracującą tam inżynierowie dzielą się z lokalną młodzieżą nowinkami z przeżywaną rewolucję techniczną Europy.

Jednym ze studentów jest Ueno Hikoma. Jego nauczyciel to holenderski marynarz i chi-

rurg Johannes L.C. Pompe van Meerdervoort. Próbuje on przekazać młodemu Japończykowi podstawy medycyny i chemii. Ma jeszcze jeden atut – aparat fotograficzny. Zaraza Ueno swoim hobby. Profesor i student razem rozgryzają tajniki wytwarzania światłoczułych substancji. Chłopak łapie bakcylię, plastykę ma we krwi – wśród przodków miał kilku malarzy portrecistów. Niestety, podręcznik, z którego obaj korzystają, opisuje tylko „przestarzałą” i mocno ograniczoną dagerotypię. Ueno i van Meerdervoort dochodzą do martwego punktu. W tym czasie na zlecenie angielskiej firmy optycznej na wyspę przybywa podróżujący po Azji fotograf Pierre Rossier. To pierwsza wizyta profesjonalisty w świe-

żo otwartym na świat kraju. Ueno udaje się do niego dotrzeć, wkrótce zostaje przewodnikiem Szwajcara. Wdzięczny i zachwycony entuzjazmem Japończyka fotograf uczy go nowoczesnej techniki, a ten rzuca medycynę i wykorzystując nową wiedzę, otwiera w Nagasaki pierwsze w Japonii studio fotograficzne.

Na początku jego klientami są wyłącznie Holendrzy i coraz liczniej odwiedzający wyspę obcokrajowcy. Na ich potrzeby Ueno zaczyna produkować pocztówki z miejskimi widokami. Lokalna ludność nie jest przekonana do przywiezionej z Europy techniki. Ueno pisze japoński podręcznik technik fotograficznych, zaczyna sprowadzać aparaty z Szanghaju. Dzisiaj w Nagasaki stoi jego pomnik. ●



ŁADNE RZECZY

Świnka z kasą

Dlaczego ekonomia powinna być tej zimy naszą ulubioną nauką

OLA SALWA



Co uskrzydla świnkę Rockstar, gdy zaciska pasa? Myśl o błyskotkach, które kiedyś kupi

Przez ostatnie miesiące w związku z tradycyjną zmianą pór roku magazynowaliśmy różne szybko zbywalne dobra: białe pieczywo, ciastka, ryż i frytki, fachowo nazywane węglowodanami prostymi. W efekcie powstała spora pula zasobów, która dobrze chroniła przed mrozem, ale w obliczu zbliżającego się przednówka okazuje się inwestycją chybioną. Choć w tym roku projektanci idą zasobnym na rękę, bo wolą zakrywać, niż odkrywać ciało (choć bądźmy szczerzy, kto nosi spódnice do ziemi?!), warto by zmienić rodzaj gromadzonych środków. Stawiamy na klasykę, czyli pieniądze, choć elegancja zakazuje rozmawiania o nich. Prawdę mówiąc, jest to podejście podszyte hipokryzją, tak jak marynarka z taniego jedwabiu podszyta jest poliestrem. W końcu elegancja nie spada z nieba i trzeba na nią zarobić. Lub zaoszczędzić.

Lokaty w banku to oczywiście dobry pomysł, ale plastikowe pieniądze mają to do siebie, że bardzo łatwo je upłynnić za pomocą komendy typu klik-klik, a konkretnie: „wprowadź PIN”, „zaakceptuj”. Lepiej więc skupić się na gromadzeniu gotówki i wyznaczyć do tego celu strażnika – świnkę skarbonkę. Rzecz jasna mówimy o ogólnej idei, a nie o konkretnym naczyniu, do którego będziemy wrzucać banknoty lub bilon.



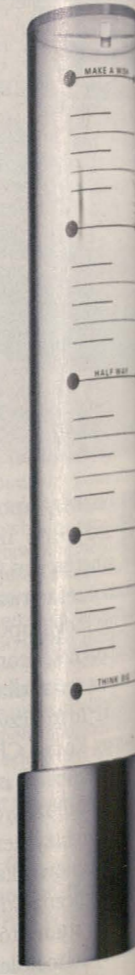
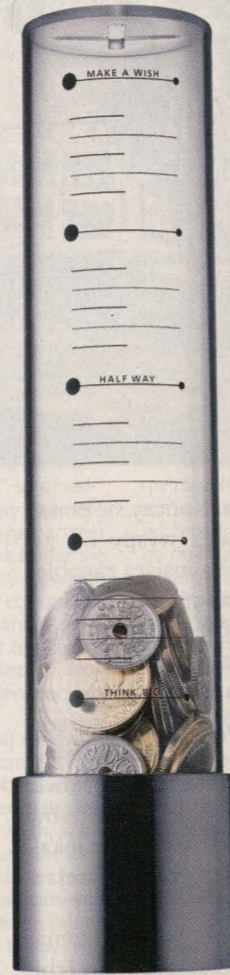
Przeciwieństwo kredytu walutowego to walutowe oszczędzanie, czyli Skarbonka Euro

Początkowo zresztą nikt nie łączył wieprza z oszczędnością. Gdy angielscy wieśniacy lub niezbyt zamożni mieszczaństwo mogli odłożyć coś na później, wrzucali drobne monety do misy z pomarańczowej gliny, która nazywa się *pygg*. Tak oto świnka (czyli *pig*) stała się jedną z wielu bezkrwawych ofiar dyslektyków lub fanów zabawy w głuchy telefon.

Skarbonka karmiona regularnie, nawet ma kształt symbolu euro, kontaktu lub jest ikiem z nakrętką, daje powody do dumy i tytuje do robienia dalszych oszczędności. A pozbywanie się obfitej tkanki finansowej jest miłsze niż pozbywanie się fałdek tłuszczu lub cellulitu, co wiedzą czytelnicy pism kulinarnych oraz niektórzy reżyserzy filmowi.



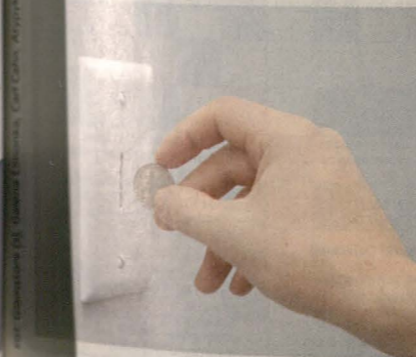
Menu wieża, czyli najbardziej transparentna propozycja gromadzenia metalowych dóbr. Na bieżąco możemy kontrolować postępy i liczyć, że 10 centymetrów pięćdziesiątówek starczy na fajną torebkę



Czas to pieniądz, to jasne, a najkorzystniej uczyć się oszczędzać w duecie – jedno i drugie jednocześnie. Skarbonka-zegar Atypyk

NO ŁADNIE! Ekokontakt

Mają gest dla lokatora, a wielki dla ludzkości – tak można zachęcać do wyłączenia światła, zawsze gdy opuszczamy pomieszczenie (chyba że znikamy na chwilkę, a mamy energooszczędne żarówki, które pochłaniają najwięcej prądu, gdy się je włącza). Zdrowy nawyk można wykorzystać do oszczędzania drobnych monet, gdy zainstalujemy ścienną skarbonkę projektu Karla Zahna. Ukryte z tyłu pudełko przechwyci nasze monety i zwróci je po zakończeniu okresu oszczędzania.



Ukrainka... ...nasza powszednia



MICHAŁ WITKOWSKI

Szwedzi mają wyrzuty sumienia z powodu zatrudniania polskich sprzątaczek. Ale nie dotyczą one kwestii fundamentalnych, że oto jeden człowiek ma wąchać cudzą ściere, tylko podatkowych. Otóż Szwedzi mają wyrzuty sumienia, że sprzątaczką z Polski jest zatrudniona u nich na czarno i nie zapłaci podatku. Ci, którzy są na państwowych stanowiskach, w ogóle nigdy by się nie odważyli zatrudnić sprzątaczkę na czarno. Bo nie wypada, bo jakby mnie złapali... I chyba tylko ci najbardziej lewicujący narzekają na „burżujów”, którym rączki by odpadły, gdyby po swoim g... kibelek umyli. Stosunek Szwedów do podatków jest inny niż w Polsce. U nas są to pieniądze przeznaczone „na rozkradzenie”, a więc na zamarnowanie. U nich – odwrotnie. Niepłacąca podatkowi Ukrainka pozbawia dziecko przedszkola, zmniejsza o jeden milimetr kwadratowy autostradę. Coś „nam, Szwedom”, zabiera. Mimo to stosunek do sprzątaczek jest u nich taki sam jak u nas. My pocieszamy się, że co prawda Polki są sprzątaczkami wszędzie, ale za to u nas są Ukrainki, czyli ktoś jest „jeszcze gorszy” od nas. Piszę w cudzysłowie, bo ja moją Ukrainkę rozpieszczęm i noszę na rękach.

Gdy weszliśmy do Schengen, wszystkie warszawskie pańcie w panice podawały sobie z ust do ust straszną wieść, wisiały na telefonach, miały ból głowy i pławiły się we własnym syfie: oto moja Ukrainka pojechała tylko na dwa dni do tego swojego Iwano-Frankowska i już jej nie wypuścili! Pożycz, kochana, swojej... Moja też nie wróciła! Niech mi pan powie, panie Michale, pytała mnie koleżanka z ambasady, gdzie się podziały Ukrainki? Wszystkie, droga pani, poleciały na wakacje do Schengen, do cie-

plych krajów... Żadna nie wróciła i nastąpiła kilkumiesięczna zagłada Ukrainek. Pamiętajcie owe dni brudu i koszmaru? Pańcie i panowie mieli niepoprasowane, brudne i niepozmywane. Ja też, przyznaję. Bo jak Ukrainka nie przyjdzie, to ja z tych, co sami nic nie robią, bo nie lubią. A już szczególnie uczulony jestem na odgłos odkurzacza. Nie mogę tego słuchać nawet przez ścianę, gdy sprzątają u sąsiadów. Oto dlaczego moją Ukrainkę Mirę noszę na rękach, dając jej ciuchy, których już nie chcę, dla jej trzech cudownych synalków (Saszka, Iwan i Dimeczka) z Iwano-Frankowska. Dimeczka ma najlepsze stopnie w szkole. Saszce już się wąs sypie. A Iwan teraz pracuje w Sankt Petersburgu na budowie i mówi, że zarabia o wiele lepiej, niż gdy pracował w Polsce. Właśnie się ożenił i widziałem zdjęcie, na którym cała rodzina wystrojona w złote i brylantowe stoi wyprostowana. Moja Ukrainka też. I nie jest na tym zdjęciu żadną Ukrainką. Jej narodowość jest neutralna, a zawód: nauczycielka. To, że w nim pracować nie może, to już inna sprawa.

Jednak mimo że sama Mira może poświadczyć, iż noszę ją na rękach, to i tak wielu ma mi to za złe. Pamiętam, jest impreza, urodziny Marii Janion, „Gazeta Wyborcza”, sala bankietowa, cała lewica, wszystkie feministki, literatura, profesorki z IBL. I w rozmowie z dwiema dziewczynkami i jedną młodą ciotą powiedziałem coś o Ukraince. Jak one na mnie spojrzały! Jedna od razu odeszła, druga powiedziała, że straciłem u niej wszystko, natomiast młoda ciota wycedziła: „No tak, mogłem się tego domyślić... Narastanie syfu w twoim mieszkaniu było zastanawiająco powolne”.

Ogólnie to miałem najpierw we Wrocławiu jedną Polkę, a potem w Warszawie dwie Ukrainki. Wszystkie te panie były przede mną noszone na rękach, częstowane kawką, której nigdy nie chciały, cukierkami, których odmawiały, itd. Wszystkie opowiadały mi różne rzeczy do prozy. Wszystkie dyskutowały o polityce i dzieciach. Pewnego razu zapytałem jedną z moich Ukrainek: „A czy nie dałoby się tak zgodzić do pomocy jakiegoś Ukrainca? Saszke albo Dimkę? Tu by mi wszystko pomalował, kran naprawił”. Na co ona odparła: „A toż stojat! Stojat w Piasecznie na bazarze i czekajut”. Tak więc zaczynam przemyśliwać zatrudnienie Ukrainca. Tylko bardzo proszę bez oskarżeń o kolonializm.

rys.: Katarzyna Leszczyć-Sumińska na podstawie zdjęcia Marcina Łobaczewskiego/Newspix.pl

ROMAN KURKIEWICZ

LEWO MYŚLNI

Bon moty obywatelskie, czyli męskie

Polska polityka wybrukowana jest bonmociarzami. Złotoustymi żartownisiami



Mordercy uniewinnieni! - piszą portale po doniesieniach z Pakistanu, gdzie uniewinniono oskarżonych o zabójstwo polskiego geologa. Przypomnijmy, że kiedy zostali zatrzymani, polski minister spraw zagranicznych (kraju europejskiego, gdzie nie ma kary śmierci za jakiegokolwiek przestępstwo) wyraził zdumiewające oczekiwanie: „Cieszę się, że będą sądzeni w kraju, gdzie jest kara śmierci”. Hm... Może czas na przepraszam? Dodajmy, że po parlamentarnym zwycięstwie nad PiS ten sam polityk popisał się frazą o konieczności „dorżnięcia watahy”. I co? I nic.

Teraz po „żartobliwej” wypowiedzi posła Platformy Obywatelskiej, niejakiego Węgrzyna, że geje są be, ale na lesbijki to by sobie posel chętnie popatrzył, Sikorski, panisko, zaordynował 30 pompek kary i linią po łapach. Sikorski się dziwi: wy, dziennikarze, narzekacie, że politycy tacy nudni i sztywni, a jak któryś zażartuje, to chcecie go ukrzyżować.

Problemem nie jest już nawet to, że całkowicie niedopuszczalne dōwciipy seksistowskie minister, zagraniczna wizytówka polskiego rządu, chce żartobliwie (wszystko jest tylko żartem) przykryć szkolną karą. Problemem jest to, że żaden z tych „polityków” tak naprawdę nie rozumie, czym zawinił, jeśli w ogóle zawinił. Nie rozumieją, że to, co wolno być może przy ognisku w ich tak zwanym męskim towarzystwie, bo nie w każdym męskim towarzystwie, jest karygodnym nadużyciem wygłoszone publicznie i ze swadą. Ale sankcji nie ma. Żadnych.

Może zatem podpowiemy? Niechże posel Węgrzyn napisze 15 tysięcy razy (gdzieś tyle wynosi jego miesięczne honorarium poselskie) zdanie: „Przeczytałem uważnie Konstytucję RP i już wiem, że nie wolno mi nikogo dyskryminować z powodu rasy, wyznania, orientacji seksualnej i płci, i bardzo żałuję swojego, jak sądziłem, przedniego żartu, w czym utwierdził mnie komentarz redaktora Terlikowskiego, że o gejach dobrze powiedziałem”.

Cóż, nasze niedoczekanie. Ale może kiedyś tacy posłowie przestaną być posłami po podobnych bon motach. Ministrowie ministrami. Prezydenci prezydentami.

BRACIA M

BARTOSZ I TOMASZ MINKIEWICZ

WWW.FACEBOOK.COM/WILQSUPERBOHATER



JOLKA NR 7

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

15 B6 A1 G5 F4 K5 F11 K1 E5 C5 G3 E2 B4 D4 H7 K8 J11 A10 E9 A12 I6

Wyrazy 10-literowe:

- UNIKA LUP
- WYSZEDŁ Z PODLADZIA
- KOLEKCJA RUBINÓW
- PRZYWIĄZUJE ZNACZENIE DO ZNACZENIA

Wyrazy 8-literowe:

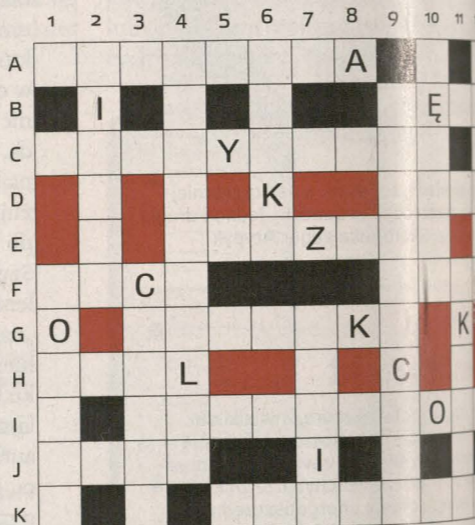
- DO WYSIEKANIA ROZMARYNÓW IDEALNA
- PANI ŻEŃSZCZYNA

Wyrazy 7-literowe:

- DO POSADZENIA W OGRÓDKU
- W KARNECIKU KATA

Wyrazy 6-literowe:

- MYŚLI Z KAPUSTĄ
- TRAFIŁO SIĘ ŚLEPEMU FOTOGRAFWI
- CIĄGNIE CĘGI DO LASU
- NIE USTĄPIŁ FORDOWI PIERWSZEŃSTWA
- KURA NA WOJNĘ
- BUSZUJĄCE W ZBOŻU



Wyrazy 5-literowe:

- ŚNIEG W PÓŁ DROGI
- PRZEDŁUŻACZ DO PALACZA

Wyrazy 4-literowe:

- LA STRADA LAWINY
- PROSTOKĄTY DO SKŁADANIA

- SYGNALIZUJE SPALONE
- W SADZE RODU BENZÓW
- PRUJE ODE
- ZDZIESIĄTKOWANE PILE RZYMIAN

ROZWIĄZANIA Z NR. 5

Krzyżówka: ROZPRAWA

- Poziomo:** 1. ROBI POKROWCE NA GRABIE - REKAWICZNIK 7. STALY W STOLICY - POBYT 8. DOPUSZCZA - DOBÓR 9. PRZED UDRA - LACH 10. Z PRZODU LICUM - PATRON 12. BÓJ W PORCIE - RESATY 14. ZROBI CI DOBRZE - SPEC 17. BABOCHŁOP - DZIAŁ 18. PROSZE SIĘ POŁOŻYĆ POTOCZNIE - GLEBA 19. NINA OPIEKUNKA KOTŁÓW - KOTŁOWNIANA
- Pionowo:** 2. W SZALE I W SZALIKU - KIBIC 3. JAK Z NIEJ NOGI - WATA 4. KOLEGA SITO - CEDZAK 5. NAPUSZCZA - NABÓR 6. IMPREZA NA DWORZE - KORONACJA 7. ŚRODA 12:00 - PÓLSRODEK 11. STARE

Dobre małżeństwo - Stabło 13. Śrubokręt - Gwint 15. Dzieci słońca - Pięsi 16. Z rana podnosi się lub opada - Mgła

Jolka: Sentymentalny, gimnazjalny bukietek fiołków... (z wiersza Agnieszki Osieckiej)

Rzędami: dylogia, niuton, maska, koziorożce, kłoc, mimika, traf, białogłowy, zając, oracja, terminy

Kolumnami: dymek, lumiere, lesko, kocmóluch, glaz, magnat, antoni, ozór, kuropatwa, ryjki, poecina, fochy

LAUREACI Z NR. 5

- Krzyżówka:** Jędrzej Budzik, Wrocław; Bożena Buzluk-Dąbrowska, Piaseczno; Anna Cichońska, Warszawa; Alina Przystała, Wrocław; Magdalena Tarasiewicz, Warszawa
- Jolka:** Wiesław Bator, Wrocław; Zofia i Wiesław Istebny, Kraków; Sławomir Krugulski, Łódź; Aleksander Wójcik, Lublin; Katarzyna Wysocka, Warszawa

JEDNO DANIE ADAMA GESSLERA

Legumina



Podczas studiów w szkole teatralnej chodziliśmy do teatrów, by prosić o wejściówki na przedstawienia. Byłem niezwykły dumny, kiedy podchodząc do kasy, wyciągałem szkolną legitymację. Czulem się tak, jakbym już był aktorem, bo ci przede wszystkim mieli prawo do rezerwowych biletów. Wtedy przed teatrami zawsze stały kolejki, o bilety było trudno. Najtrudniej chyba o te do Teatru Współczesnego.

Któregoś dnia wybrałem się właśnie do Współczesnego, a tam ani biletów, ani wejściówek. Ze spuszczoną głową odchodziłem od kasy. W holu minąłem dyrektora teatru, profesora Erwina Axera. Widocznie tak nisko miałem tę głowę spuszczone, że uznał, iż należy mnie spytać o powód zmartwienia. Powie-

działem, że jestem studentem, a nie ma już wejściówek. Profesor zaproził mnie wtedy do teatru i oddał mi na ten wieczór swoje dyrektorskie krzesło. Wiele lat później, ot, zupełnie niedawno, los był dla mnie łaskawy. Tak jak wtedy do teatru, tak dziś trudno niekiedy dostać się do restauracji - oddałem w niej swoje krzesło wielkiemu profesorowi Erwinowi Axerowi. Ten po daniu głównym spytał, czy w mojej restauracji jest serwowana na deser legumina. Wtedy nie było. Ba, nawet nie bardzo pamiętałem, co to była legumina. Poprosiłem profesora o przypomnienie. Oto legumina z jego opowieści:

Ćwierć litra grysiku pszennego zalewamy pół litra surowego mleka

i odstawiamy na bok. Pięć żółek ucieramy do białości z pięcioma łyżkami cukru. Następnie mieszamy je razem z kaszką. W końcu dodajemy trochę cytrynowej skórki i pianę z pozostałych białek. Wkładamy to do rondelka wysmarowanego masłem i wysypanego wewnątrz bułką i wstawiamy do gorącego pieca na pół godziny. Po wyjęciu polewamy sokiem z malin. Ale to już przy stole.

Nie muszę Państwu mówić, z jaką radością od tego dnia częstuję gości leguminą, pamiętając, że jak wtedy krzesło w teatrze, tak teraz ten deser oferował mi profesor Axer. Czekam na niego, aż któregoś dnia wróci do mojej restauracji, i przyjmę go wówczas leguminą orzechową.

Program „Wściekle gary” Adama Gesslera oglądajcie w soboty o 14.10 w TVP Polonia

NIE TAK: JANEK KOZA



KURTYNA opada beżsilnie.

MYŚLNIK KRZYSZTOF BILICA

Kroczy tylko z własnym podniesionym czołem.

Przygotowuje: Zespół KALIBER 45

KRZYŻÓWKA NR 7

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.



POZIOMO:

1. CHŁOP AK
7. PRAWANNA
8. RYK MAŁEGO LWA
9. WYDANY AMERYKANOM
10. KÓL BUTY
12. WOLI KONIA
14. KRÓL CHLEW
17. WYWOŁUJE WILKA Z LASU
18. RZECZPOSPOLITA PODZIEMNA
19. GRUBA RYBA Z OŚCIĄ

PIONOWO:

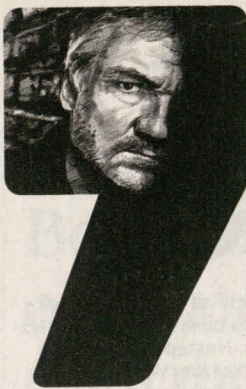
2. RAJ STÓP
3. GADA OBOK
4. MNIJEJSZOŚCI W KINIE
5. PODNIOSŁE SŁOWA
6. DOMOLKA
7. JEDZIE KAPUSTĄ
11. CO TY PLECIESZ?
13. KOBIETA W FORMIE
15. GRAND PRIX W TOUR DE LA VIE
16. STRZELAJĄ Z ŁUKU



Nagrodą w tym tygodniu jest książka **George'a Orwella** „Kilka myśli o ropusze zwyczajnej” (Świat Książki)

Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 21 lutego 2011. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,45 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również zgadania zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.



Przyniosłem mu wymęczone sto stron „młodzieńczej” prozy; przeczytał i wrażenia zreferował – ponieważ jednak ani na początku, ani w środku, ani na końcu nie padła fraza: „Największe objawienie literackie ostatnich dziesięcioleci”, słuchałem – wkurwiony nań – nieuważnie, a szkoda, a szkoda

2 LUTEGO

Podobno istnieje temperatura i temperatura odczuwalna. Wygląda mi to na kolejny wynalazek epoki relatywizmu powszechnego; jeśli temperatura wrzenia wody wynosi – dajmy na to – sto stopni, to jaka jest odczuwalna temperatura wrzenia tej cieczy? Zależy od pogody? W upał wyższa, zimą niższa? W warunkach wojennych skacze, w czasie pokoju opada? Proszę bardzo. W sumie popieram. Wszystko, co służy literaturze, wszystko, co da się na teren literatury przenieść, i wszystko – jest dobre. Z temperaturą – że powiem coś od siebie – jak z temperaturą: nieraz jest, nieraz jej nie ma.

Ale na przykład czytanie i „czytanie odczuwalne” to jest coś! Zwłaszcza z wiekiem. Niby czytasz po staremu, a odczuwasz coraz mniej. Lektura trwa nieprzerwanie – lektura odczuwalna trafia się coraz rzadziej. Stąd starcze powroty do dawnych, jakże wstrząsających w ich odczuwalności tekstów. Przy nowych bywa to rzadko, chyba że „nowość” jest nieoczywista.

3 LUTEGO

Wydawnictwo Znak wydało opasty tom „Błoński przekorny. Dziennik. Wywiady”; nad prowokacyjną przekornością ergo „zaplanowaną” kontrowersyjnością tytułu nie pieję, ale też nie wydziwiam, bywały rzeczy groźniejsze; a mistrzostwo świata w dziedzinie rozdzierających tytułów, opatrzenie mianowicie zbioru pośmiertnych szkiców Andrzeja Kijowskiego szokującym nagłówkiem „Bolesne prowokacje” – nadal jest i długo jeszcze będzie nie do pobicia.

Przeszło sto stron „Dziennika” przeczytałem niezmiernie „odczuwalnie”. Mam na punkcie Błońskiego swoistego bzika – bliska mi jest ta postać niesłychanie, a zarazem tak daleka, że choćbym połowę jego sekretów – też tych mniej lub bardziej zakamuflowanych w „Dzienniku” – rozgryź, za bardzo się doń nie zbliżę nigdy. Pewne więzi jednak istniały

– rekonstruuje je pieczołowicie. Na naszym marnym świecie jedynie tęsknota – skłonna do egzaltacji siostra pamięci – jest doskonała.

Na 102. stronie trafiam na takie linijki: „Kiedy szedłem ze szkoły powszechnej do gimnazjum, miałem nadzieję, że teraz zacznę się uczyć naprawdę; przyjeżdżając w 1948 do Krakowa, myślałem o uniwersytecie jako o krynicy, z której tryska i wiedza, i mądrość. Nie marzyłem o niczym innym, jak o tym, aby mieć nauczycieli. Ale wtedy wszyscy zajęci byli zmienianiem przekonań, jakże mogliby stać się nauczycielami?”

Gombrowicz przekonań nie zmieniał, ale na nauczyciela – mimo nadziei ucznia – też się nie nadawał, raczej strach, niż zapal budził: „Przy uznaniu jego wybitności przeważał u mnie lęk (...) że mnie przyszpili, przygniecie, każe się wykręcać albo składać wyznania wiary, których bym się później wstydził. Że do niego nie dorastam, że chciałbym się raczej czegoś nauczyć, posłuchać”. Niestety, autor „Kosmosu” miał zaledwie jedną naukę: „Niech pan żyje dla siebie, człowiek powinien żyć najpierw dla siebie”, i tę naukę Janek miał raczej za frazes; niską notę ułatwiałoby to, że nauczyciel w osobistych rozmowach jechał całymi partiami ze swego czy to już opublikowanego, czy – częściej – napisanego, a niepublikowanego jeszcze „Dziennika”. Owszem, autor cytujący samego siebie – to zawsze budzi mieszane uczucia, nawet zwłaszcza, a może zwłaszcza, najwięksi rzadko mają do powiedzenia więcej nad to, co napisali, chyba że o dupie Maryni; Gombrowicz, specjalnie późny i ciężko chory Gombrowicz, takich tematów nie znał.

„Niech pan żyje dla siebie”. Jak zderzyć ten frazes z takimi oto wyznaniem Błońskiego: „Tak niezmiernie powoli postępuję, jakbym żył we mgle, albo spowolnieniu, gdzie nawet oczywiste porażki przestają mnie obchodzić (...) od wszystkiego uciekam właściwie, niby odruchem samoobrony (...). Nieustanna prawie rozpacz nieautentyczności, rozpamiętywanie pomyłek, niepojętej – dzisiaj – dla mnie

drogi, jaką przybrało moje życie intelektualne”; jak taką boleść, a też dane tu i ówczas w tekście próbki nie były jakich możliwości pisarskich, zderzyć z „frazesem” Gombrowicza – robi się ciekawie, a nawet bardzo ciekawie. „Zapisuję nieporządek własnego myślenia, który wszakże – nieporządek – z siebie iskrę poetyckiej nie skrzese”. Promocja może nie, ale diarystycznej? Czemu? Przepuszczenie, że gdyby z „Dziennika” Błońskiego zostało nie sto, ale kilkadziesiąt, mielibyśmy dzieło na nie wiadomo jak ważnym. Taki otóż żal zbyt automatyczny mi się nie wydaje go odnotowywać. Skądinąd o widowni dzieł Błoński umiał pisać oświecająco.

5 LUTEGO

Całą młodość nie marzyłem o niczym innym jak o tym, aby mieć w Błońskim nauczyciela; chciałem, by czytał, co piszę; by pisał o tym, co piszę; by ogłosił w „Tygodniku Powszechnym” entuzjastyczną recenzję, by zapisał moją kandydaturę do Nagrody Kościelskich – słowem: miałem stały zestaw elementarnych marzeń wszystkich ówczesnych galicyjskich (stołeczni marzyli dodatkowo o dziełach w „Twórczości”) młodych literatów.

Niby się spełniło, ale jak z płatka nie było. W ostatnich porywach siedmioletniej pracy na uczelni zacząłem pisać u Niego doktorat. Zamiast koncepcji i pierwszych rozdziałów dysertacji przyniosłem mu w niemym nadziei wymęczone sto stron „młodzieńczej” prozy; przeczytał i wrażenia zreferował – ponieważ jednak ani na początku, ani w środku, ani na końcu nie padła fraza: „Największe objawienie literackie ostatnich dziesięcioleci”, słuchałem – wkurwiony nań – nieuważnie, a szkoda, a szkoda. W końcu przedstawił mi kawałek, nawet spory, ze 30 stron, do którego – rewelacja to nie jest, kręcił nosem. Została wisiela w powietrzu. Na wielkie, a może na największe moje szczęście wybuchła wojna. Promotor wyjechał za granicę, a doktorant zajął się urokami, jakie w życie zmęczonego narodu wносиła godzina policyjna. Jest. Jaruzelski dał mi nie tylko wolność, dał mi też – jak się miało po latach pokazać – taki fach do ręki. Bo przecież gdyby historia potoczyła się inaczej, gdyby Błoński siedział w Krakowie, gdyby wziął mnie – a potrafił być bardzo zasadniczy – do galopu, to ja z samego strachu napisałbym ten nieszczęsny doktorat i w rezultacie może do dziś trup mój bladał się w jakichś lochach Gołębnika.





Škoda Octavia

ŻYCIE OFERUJE WIELE, A TY DOBRZE WYBIERASZ

Nieprzebrany zbiór ludzkich doznań. Życie. Nie sposób doswadczyć wszystkiego. Trzeba wybierać. Na szczęście Ty wiesz, co dobre. Dlatego wybierasz tak, aby nie rezygnować z niczego.

ŠkodaKredyt

www.skoda-auto.pl



Uśredniona wartość zużycia paliwa i emisji CO₂: Škoda Octavia 4,9 – 7,9 l/100 km, 130 – 188 g/km. Informacje na temat przydatności do odzysku i recyklingu są dostępne na www.skoda-auto.pl